

Montagu Barstow

czerwony kwiat anysu

T. 1

ROZDZIAŁ I.

PARYŻ, W WRZEŚNIU R. 1792.

Już na krótko przed zachodem słońca około wschodniej barykady Paryża roił się zgiełkliwy, burzliwy tłum ludzi. Właściwie do ludzi był ten tłum podobny, ale dzika zjadłość, żądza zemsty i zniszczenia, zmieniała te twarze i raczej do zwierząt porównać by je było można.

Bo też użyli sobie dzisiaj! Od rana pracowała gilotyna i mogli się upoić samym widokiem krwi, przelanej obficie.

Po chwili nastąpiło inne, niemniej zajmujące widowisko: od placu de la Greve nadciągał nowy tłum, kierując się ku wschodnim barykadom, do miejsca, gdzie za lat dziesięć dumny samowładca, Napoleon miał wznieść nieśmiertelny pomnik chwały narodu i własnej pychy.

Była to codzienna uciecha dla tłumu, bo też ci arystokraci tacy niemądry! Zdrajcy to — wszyscy bez wyjątku i kobiety i dzieci, wszyscy, którzy pochodzą od tych tam wielkich ludzi z czasów wojen krzyżowych. Ich dziadowie walczyli na chwałę Francji, ale uciskali lud, żyli z jego potu, pomiatali nim. Przez tyle wieków panowali; dzięki nim dwór królewski jaśniał wspaniałością i przepychem. Teraz nadszedł koniec tego. Teraz lud rządzi. Lud zepchnie te dumne głowy w kurz i błoto ulicy. Lud, długo deptany, depta swą bosą nogą gardła ciemiężycieli. Kto się szczyci szlachectwem, czyj ród był w zamierzchłych czasach sławny — płaci życiem za taki przywilej.

I spadają głowy, płynie falą błękitna krew. Nie zrobiono wyjątku ani dla dobrotliwego króla, ani dla pięknej młodej królowej.

A oni? Oni próbują ukryć się, próbują uciekać!

I to bywa najzabawniejsze. Co wieczór przed zamknięciem bram i barykad, wyjeżdżają wozy z miasta, wozy, które dowożą żywność na targi codzienne. Z tej sposobności korzystają poprzebierani w najrozmaitszy sposób, na wozie, za wozem, przemykają się, jak mogą — ale to się najczęściej nie udaje. Dzielni żołnierze Republiki baczne mają oko, wypatrzą mężczyzn w kobiecych sukniach, kobiety w męskim przebraniu i dzieci w łachmanach. Ci hrabiowie, markizowie i nawet książęta chcą uciec z Francji, żeby w Anglii lub w innych państwach podburzać wrogów republiki, sprowadzić ich tu i wielmożów dawnych tym sposobem uwolnić z więzienia.

Nie uda się im to jednak. Taki sierżant Bibot naprzykład ma dar niezrównany i węch specjalny: każdego arystokratę zwietrzy, żeby był niewiedzieć w jakim przebraniu! A przy tym umie to urządzać tak zabawnie. W pierwszej chwili puszcza ich przez bramę, niech się cieszą nadzieją, że są już uratowani, a w parę minut posyła dwóch ludzi, którzy ściągają z nich przebranie.

Jakże pocieszne miny wtedy stroją! Nieboracy wiedzą, że do dwudziestu czterech godzin nie minie ich gilotyna. Czasem bawi się z nimi kwadrans i dłużej, jak kot z myszą, powoli zdziera z nich szmaty, peruki, przebranie, aż się z nich wyłoni jakiś szlachcic albo przestraszona i zrozpaczona markiza!

To też w ten pogodny wrześnieowy wieczór największe tłumy zebrały się koło bramy Bibota. Zasmakowali już w dzisiejszej rzeźni i chcą się upewnić, czy i na jutro uzbiera się równie pokaźna ilość głów, bo ostatnimi czasy robota przy gilotynie szła na całego.

A ci przekłeci arystokraci w coraz większym strachu przekradają się — to też niema dnia, żeby Bibot nie wykrył któregoś. Ten, to już pani Gilotynie napewno dostarczy zawsze żeru.

Bibot siedzi na przewróconej pustej pace, mały oddział żołnierzy-obywateli czeka na jego rozkazy.

Bibot specjalną cieszy się powagą — nawet Danton i Robespierre udzielili mu pochwały i specjalnie polecili rządowi, odznaczyć się — co najmniej pięćdziesięciu najpierwszych arystokratów wysłał na gilotynę.

A dziś wszyscy sierżanci przy barykadach otrzymali specjalnie surowe ostrzeżenie i rozkaz wyraźny. Lud także ciekawy i podniecony, bo od dłuższego czasu chodzą głuche wieści o jakichś nadzwyczajnych ucieczkach i przemknięciu się przez granicę kilku znanych i głośnych rojalistów.

Sierżant GrosPierre poszedł pod gilotyne, bo cała jedna rodzina arystokratyczna przemknęła się tuż pod jego nosem przez bramę północną.

Opowiadano, że to banda Anglików, młodych i odważnych, którzy nie mają co robić w własnym kraju, urządziła sobie taką zabawę: kręcą się tu i gdzie mogą, wydzierają ofiary wprost z pod noża gilotyny. Wiadomości te rosły w miarę, jak je powtarzano, opowieści doszły do takiej przesady, że wprost nadprzyrodzone siły miały im pomagać. Przywódca tych Anglików miał być bajecznie wprost odważny i zdeterminowany, umiał robić się podobno niewidzialnym i tym, których przemyczał, udzielał tej samej nieczystej siły.

Nikt go nie widział na oczy, opowiadano o nim rzeczy tak nieprawdopodobne, że imię jego wywoływało dreszcz zabobonny w słuchaczach.

Obywatel Fouquier Tinville, główny prokurator Trybunału Rewolucyjnego i niestrudzony dostawca ofiar dla gilotyny, na której potem sam musiał rozstać się z głową, otrzymywał wciąż od niego karteczki, a dochodziły go one jakimś tajemniczym sposobem: znajdował je na stołach, przy łóżku, w kieszeniach swego ubrania, a nierzadko, podał mu ją ktoś w tłumie, gdy się przedzierał, chcąc dojść na posiedzenie Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego. Karteczka ta była uwiadomieniem, że wróg gilotyny i rewolucji pracuje, a zamiast podpisu, jako godło, tkwił mały czerwony kwiatek, zwykły kwiatek anyżu.

I w kilka godzin po otrzymaniu takiego bezczelnego świstka dochodziła wiadomość do Komitetu Bezpieczeństwa Publicznego, że tylu a tylu arystokratów wydostało się z Paryża i na angielskim okręcie opuściło brzegi Francji.

Zdwojono strażę, sierżantom zagrożono karą śmierci, a pięć tysięcy franków nagrody obiecano temu, kto odda tajemniczego wodza sprzysiężenia w ręce rządu.

Wszyscy byli pewni, że Bibot to potrafi uczynić i dlatego ścisnęli się zawsze koło niego, chcąc patrzeć, jak on tych przytykających się arystokratów przytrzyma, a wraz z nimi i Anyżę, przywódcę sprzysiężenia.

— Ba! — mówił Bibot w zaufaniu do swego kaprała. — Obywatel Gorspierre był dureń! Dużo bym dał, żeby tak na mnie wypadła wtedy straż przy bramie północnej.

I splunął z pogardą przez zęby nad głupotą nieżyjącego już towarzysza.

— Ale opowiedzcie nam, jak to się właściwie stało! — prosił go kaprał.

— GrosPierre pełnił straż przy bramie... — rozpoczął opowiadanie głośno, a tłumy ścisnęły się naokoło, ażeby ani słóweczka z tego opowiadania nie stracić. — Wiecie już o tych Anglikach i o tym ich przywódcy. Zje diabła, jeśli mi się wymknie. Ale GrosPierre był strasznie głupi... Jechały wozy przez bramę, a jeden był pełen pustych skrzyń, powoził jakiś stary z chłopakiem. GrosPierre był trochę podchmielony — a miał się zawsze za bardzo mądrego — przeglądał paki, prawie wszystkie, widział, że puste, puścił wóz!

Pomruk niezadowolenia i pogardy wydali obszarpańcy, otaczający Bibota.

— W pół godziny potem — ciągnął sierżant — nadbiega z miasta kapitan gwardii z patrolem, może ich było z dwunastu razem.

— Czy wóz tedy przejeżdżał? — pyta zadyszany GrosPierre'a.

— Tak jest, — mówi tamten, — będzie temu z pół godziny.

— I puściłeś ich? — huknął w pasji kapitan. — Ani chybi, obywatelu sierżancie, pójdiesz pod gilotyne. Wóz ten ukrywał księcia Chalis z rodziną.

— Co? — krzyknął GrosPierre w przerażeniu.

— A jakże! A woźnicą był ten przeklęty Anglik, ten co przybrał nazwę kwiatka anyżu!

Tłum zawył w rozdrażnieniu.

Wprawdzie GrosPierre odpokutował już swą winę na gilotynie, ale co za głupiec!

Bibot śmiał się tak, że przestał mówić.

— Za nimi, żywo! — powiedział po chwili kapitan. — Nagrodę dostaniecie, ruszajmy, nie mogą być daleko! — I pobiegł, a za nim dwunastu żołnierzy.

— Ale już było zapóźno? — zawołał ktoś w tłumie.

— Nie złapali ich?

— Bodaj tego Grospierra z jego głupotą!

— Zasłużył na swój los!

— Ale żeby tych skrzyń porządnie nie przeglądnać!

Wszystkie te uwagi bawiły obywatela Bibot niesłychanie; trzymał się za boki i oczy miał pełne łez ze śmiechu.

— Nie, nie! — powiedział w końcu. — Skrzynie były puste, a woźnicą nie był ten Anglik Anyż... Anglik był tym kapitanem gwardii, a każdy z jego żołnierzy — orystokratą.

Tłum zamilkł.

Opowieść Bibota wzmocniła przekonanie czy zaobron, że Anglikowi diabeł pomaga.

Słońce zniżało się. Bibot chciał zamykać bramy.

— En avant (naprzód), z wozami! — zawołał.

Długa linia krytych wózków poruszyła się. Jechały stępa; przeważnie powoziły kobiety, a że Bibot znał prawie każdą, bo codzień je widywał, więc rozmawiał z niektórymi, przeglądając pilnie zawartość każdego wózka.

— Bieda nie śpił — mawiał. — A nuż mnie złapiają jak tego ǳurnia Grospierra'a.

Kobiety te spędzały prawie dzień cały na placu de la Greve u stóp gilotyny. Bawiły ich wózki, przywożące skazańców, okrzykami witały spadające głowy. Były to sławne „tricoteusy“ (robiły pończochy), zasiadały jak najbliżej krwawej maszyny i dumne były, gdy którą obryzgała krew przeklętych arystokratów.

— Hoła! Matko! — zagadnął Bibot jedną z tych czarownic. — A co tam macie?

Widział ją już pierwaj z batem pod pachą, jak robiła pończochę u podnóża gilotyny. Teraz na końcu bata przyczepiła sobie ozdobę, pęk cały włosów ludzkich, złożony z różnych odcieleni, od siwych i czarnych począwszy, do jasnych blond i złotych; gładziła je z upodobaniem kościstymi palcami.

— Zaprzyjaźniłam się z kochankiem pani Głoty, naszym dzielnym katem i poucinał to dla mnie ze spadających głów. Obiecał ich dużo naciąć jutro, ale nie wiem, czy będę na moim miejscu.

— A dlaczegoż nie, małko? — pytał Bibot.

Mimo, że był żołnierzem, do różnych okropności przywykajonym, ze wstrętem patrzył na tę kobietę, która pożąda tych śmiertelnych kosmyków, aby przybrać nimi swój batog.

— Mój wnuk dostał ospę! — powiedziała, wskazując palcem na wnętrze wózka. — Mówią niektórzy, że to dżuma! A jeżeli tak, to mnie tu jutro nie wpuszczą.

Na pierwszą wzmiankę o ospie cofnął się Bibot, a gdy wiedźma o dżumie wspomniała, odszedł co prędzej.

— Przekłeta baba! — mruknął, a ludzie ustępowali pośpiesznie i wózek stał opuszczony.

— Toś ty tchórz przeklęty! Oto mi żołnierz, co się boi choroby.

Dżuma.

Tak straszną była podówczas ta choroba, grożąca śmiercią w samotności i opuszczeniu, że w jednej chwili gwar umilkł, ludzie posmutnieli, jak gdyby groźne jakieś widmo stanęło między nimi.

— Wynoś mi się zaraz ze swoim zadżumionym nasieniem! — krzyknął.

Pożegnała go grubiańskim gestem i śmiejąc się ordynarnie, popędziła chudą swą szkapę przez bramę.

Humory popsuły się.

Cała wieczorna zabawa na nic. Bibot patrzył bezmyślnie.

W tym dostrzegł biegnącego kapitana gwardii. Był mu dobrze znany, tak, niewątpliwie zna go osobiście, nie da się złapać jak GrosPierre.

Przybywający wołał z daleka:

— Wózek...

— Co za wózek?

— Kryty wózek, stara wiedźma powoziła...

— Było ich tuzin...

— Stara mówiła, że ~~ty~~ ma dżumę!



Mój wnuk dostał ospy! powiedziała. (Str. 8).

— Tak..?

— Nie puściliście?...

— Morbleu!

Bibot z czerwonego stał się bladym.

— Na wózku była księżna Tournay z dwojgiem dzieci,
wszyscy zdrajcy i skazani na śmierć!

— A wiedźma? — szeptał Bibot, drżąc z przerażenia.

— Sacre tonnerre! — powiedział kapitan. — Prawdopodobnie to nikt inny, tylko ten przekłety Anglik, ten Anyż!

ROZDZIAŁ II.

DOWER — „SPOCZYNEK RYBAKA”.

Sally, córka oberżysty, miała dziś ciężką pracę w kuchni. Przy ogromnym palenisku stały rzędem rynki i patelnie. Wspaniała pieczeń wołowa obracała się na różnie powoli przed płomieniem ognia, który złościł apetycznie to jedną, to drugą jej stronę. W potężnym kotle mieszała coś stara Jemina, mrużąc ciągle pod nosem. A dwie rumiane i spocone dziewczki z zakasanyimi rękawami uwijały się po kuchni, pomagając w pracy.

— Hola! Sally! — odezwał się wesoły, choć niezbyt dźwięczny głos z izby obok.

— Boże miłosierny! — zaśmiała się wesoło Sally. — Ciękawam, czego tam jeszcze potrzebują?

— Piwa naturalnie! — mruknęła Jemina. — Myślisz może, że Jimmy Pitkins jednym kuflem się zadowoli?

— I pan Harry wyglądał spragniony także. — westchnęła Marta, jedna z dziewczek, mrugając oczkami jak paciorki do swej towarzyszki, po czym obie zaczęły dyskretnie chichotać.

Sally nachmurzyła się; świerzbiała ją zapewne rączki, aby Martę nauczyć poszanowania, ale wesołość przemogła zły humor. Wzruszywszy ramionami, zabrała się do smażenia kartofli.

— Chodź-no tu, Sally! Hej!

Brzęk miedzianych kufli, którymi stukano w stół dębowy, wzywał hożą córkę oberżysty do izby zajazdu.

— Sally, czy całą noc na piwo czekać będziemy? — huknął znów uparty głos.

— Mógłby ojciec dać im, wie przecież. Jak się spieszyć musimy.

— Właśnie, — mruczała Jemina, nalewając szumiące, pienne piwo z dużych dzbanów do kufli. — Ojciec o polityce z panem Hempseed rozprawia, a nie o twojej robocie myśli.

Sally popatrzyła w lusterko, przyglądała czarne, kręte włosy, schowała je pod biały rurkowany czepeczek, który załotnie podpięła; potem chwyciła kufle, po trzy w każdą rękę, i śmiejąc się, rumieniąc, a niby zagniewana, wpadła do głównej izby oberży.

Gospoda „Spoczynek Rybaka“ stała do końca XIX wieku, i w takim była poszanowaniu, że pokazywano ją turystom jako osobliwość.

I w r. 1792 nie była już nową. Obszerna izba, kawiarnią zwana, z ogromnym kominkiem, zajmowała środek budynku. Ściany — dębem wyłożone, pułki — pełne rondli miedzianych, stoły — ze starości poczerniałe, na których miedziane kufle wypisały osobną historię, znaczoną miliardami kółek, krzesła z rzeźbionym oparciem świadczyły o zasobności właściciela tej gospody.

Podłoga z jasnej czerwonej cegły, codzien szorowana, miłe na wstępie robiła wrażenie. Okna szerokie z szybami w ołów oprawionymi rozweselały całą izbę, dlatego zwłaszcza, że tulily szeregi całe wazoników czerwonych pelargonii i pachnącej rezedy.

Właściciel gospody, pan Jellyband z nazwiska, szeroki w barkach i silnie zbudowany, był typem oberżysty z ojca, dziada i pradziada. Piastował ten urząd dziedzicznie i mimo, że majątek jego wzrósł znacznie, nie porzucał ani swego zajęcia, ani tradycyjnego ubrania. Nosił stale czarny surdut, czerwoną kamizelkę z mosiężnymi guzikami, czarne kortowe spodnie, popielate pończochy i płytkie z dużymi klamrami trzewiki. Każdy szanujący się oberżysta ubierał się wówczas podobnie. Gliniana krótka fajeczka tkwiła wiecznie w zębach i namiętnie lubił, zanurzywszy się w obłokach dymu, rozprawiać o polityce ze swymi starymi, dobrymi znajomymi.

Stałymi gośćmi byli tu przeważnie rybacy.

Nie dziwnego, wiadomo powszechnie, że słońce powiekrze, jakim się na morzu oddycha, wzbudza pragnienie, które na stałym lądzie dopiero zaspokoić można. Ale nie tylko skromnych rybaków gościł „Spoczynek Rybaka“. Miewał też i wspanialszych gości, bo karetą pocztową, kursującą stale między Londynem i Dowrem, codziennie zatrzymywała się przed oberżą pana Jellybanda, i każdy, kto kanał przepłynął i ten, kto miał go przepłynąć, ażeby resztę świata oglądnąć, musiał zatrzymać się w gospodzie, skosztować francuskiego wina, lub napić się wybornego, w domu warzonego piwa, którego wyrobem szczycił się pan Jellyband.

Było to ku końcowi września roku 1792. Piękna dotąd pogoda zmieniła się w mroczną, zimną ulewę; od dwóch dni trwała słońca, niszcząc późne zbiory, a zwłaszcza jabłka, gruszki i śliwki w sadach. Wiatr huczał w kominie, łamał drzewa przydrożne a krople deszczu wybijały o szyby smutne, jesienne memento.

— Czyś widział kiedy taką słońca we wrześniu, panie Jellyband? — zapytał pan Hempseed, zasiadając wygodnie na jednym z krzeseł, ustawionych przy kominku.

Pan Hempseed należał do najszanowniejszych ludzi nie tylko w „Spoczynku Rybaka“, ale w całej okolicy; słynął z rozumu, powagi, a najwięcej z głębokiej znajomości Pisma Świętego.

— Nie pamiętam czegoś podobnego, a żyję już lat sześćdziesiąt.

— W takim razie możesz pięćdziesiąt siedem lat pamiętać, bo nie słyszałem, żeby kto przed trzecim rokiem życia coś sobie przypominał. Ja już żyję siedemdziesiąt pięć i niejedno słyszeć mogłem. Ten czas wygląda na kwiecień raczej...

— Prawda! — potwierdził gospodarz. — A ja mówię, że wszystkiego możemy się spodziewać z takim rządem zwłaszcza, jak nasz...

Pan Hempseed kiwał głową zniechęcony, nie wiedzieć czy nad klimatem, czy nad rządem angielskim.

— Ja już niczego się nie spodziewam, panie Jellyband! —

powiedział. — Biedni ludzie, jak my, nie mają grosu w Londynie, często nad tym boleję. A jak jeszcze przyjdzie taki czas, kiedy to człowiek musi patrzeć na biedne zaiszczone owoce... Tylko żydzi się cieszą, bo będą handlować pomarańczami i tym podobnymi zamorskimi cudakami, na które, ręczę, niktby nie spojrział, gdyby nasze gruszki i jabłka, godnie, jak mówi Pismo Święte, dojrzały.

— Słusznie mówisz, panie Hempseed, i ja to samo powiadam. Czego my się jeszcze doczekamy? Tam te francuskie diabły mordują króla i szlachtę, a Pitt i Fox i Burke kłócą się ze sobą, jak gdybyśmy mieli im na te okropności pozwalać. — Niech się mordują! — mówi Pitt. — Przeskodzić temu! — mówi Burke.

— A ja mówię, niech sobie robią, co im się podoba! — zakończył pompatycznie pan Hempseed, nie lubił bowiem, gdy się jego przyjaciel zapalał w dyskusji. Przeskadzał mu, przerywał tok mądrych jego zdań, które tak lubił wygłaszać, a przecież mądrość jego zjednała mu poważanie całej okolicy i dzięki jej niejedną zjadł z apetytem zafundowaną libację.

— Niech się mordują! — powtarzał. — Ale niech ustanie ten deszcz we wrześnie, bo to jest przeciw prawu i przeciw Pismu.

— Panie Harry! A to także coś nowego! — rozległ się głos dziewczęcy.

Nieszczęściem flircik Sally zdradził się wykrzyknikiem właśnie w chwili, gdy pan Hempseed namyślał się nad jakimś pełnym namaszczenia cytatem z Pisma Świętego.

— Sally, moje dziecko! — tu ojciec i zrywał srożą minę. — Mogłabyś iść do swojej roboty zamiast dokazywać z tymi błaznami.

— Robota idź! swoim porządkiem, ojczel!

Pan Jellyband był stanowczy, swoją hożą jedynaczkę, przyszłą dziedziczkę „Spoczynku Rybaka“, trzymał ostro; nie byłby za nic wydał córki za młodzika, który siecią na życie zarabia.

— Czyś słyszała? — a powiedział to spokojnym głosem, któremu nikt opierać się nie ważył... — Kolacja dla lorda Tony

ma być najlepsza z tych, na jakie zdobyć się potrafisz, a jak mu nie będzie smakowała, to dostaniesz ode mnie.

Sally wyniosła się niezbyt pośpiesznie.

— Spodziewacie się gości dziś wieczorem, panie Jellyband? — zagadnął Jimmy Pitkins w pocziwej intencji odwrócenia uwagi ojca od manewrów Sally.

— Aj! Spodziewam się! — odpowiedział gospodarz. — Przyjaciół samego lorda Tony. Książąt i księżniczek, które nasi panowie ratują z pazurów tych zbójców z za wody.

Tego już było za wiele panu Hempseed, o którym jakby zapomniano:

— Bożel — zawołał z kłótliwą filozofią. — I po co oni się w to mieszają? Pismo mówi: „Pilnuj sam siebie!”

— Może być, panie Hempseed! — przerwał złośliwie Jellyband. — Pan jesteś osobistym przyjacielem Pitta i powtarzasz razem z Foksem: „Niech się mordują!”

— Przepraszam! — zaprotestował Hempseed. — Tego nie mówię.

— A możeś pan już zawarł przyjaźń z którymś z tych tam łotrów, bo oni przyjeżdżają tu i chcą nas uprosić, żebyśmy my, Anglicy, ich rozboje i mordy chwalili.

— Nie wiem, co chcesz powiedzieć! — bronił się Hempseed. — Utrzymuję tylko...

— A ja utrzymuję, — perorował gospodarz — że te koncepty francuskie ludziom w głowach przewracają. Nie trzeba daleko szukać, na przykład mój przyjaciel Peppercorn z oberży „Pod Niedźwiedziem“, toż to był prawy, zacny Anglik, a teraz co? Zaczął się z nimi przyjaźnić, zjeżdżają do niego te obce, bez czei i wiary szpiegi, i nasz Peppercorn tylko o równości, o wolności, o rewolucji gada, „precz z arystokratami!“ wykrzykuje całkiem jak nasz pan Hempseed.

— Przepraszam, panie Jellyband! — przeczył słabo Hempseed. — Ja nawet nie wiem, czy kiedykolwiek mówiłem...

Tu oberżysta wezwał na świadków całe towarzystwo, które słuchało z przerażeniem o błędach pana Peppercorna.

Dwóch ludzi grało w domino przy stole. Ubrani byli po pańsku i widocznie należeli do inteligencji, bo wywodów pana

Jellybanda słuchali z wielkim zajęciem. Jeden z nich wstał i ze spokojnym, trochę sarkastycznym uśmiechem zwrócił się do Jellybanda:

— Więc sądzisz, przyjacielu, że ci Francuzi, mniemasz, że to są szpiegi, potrafili zmienić przekonania pana Peppercorna? Jakże to, czyż to możliwe?

— Ho, panie, wmówili to w niego! Gęby mają wprawne, spytaj choćby pana Hempseeda, powie ci, jak to oni ludzi umieją choćby koło palca owinać!

— Czyż tak jest rzeczywiście, panie Hempseed? — grzecznie zapytał cudzoziemiec.

— Nie wiem! — odparł tenże zirytowany. — Nie wiem, dlaczego na żądanie pańskie miałbym mu służyć informacjami...

Gospodarza zabawił wykręt pana Hempseeda. Na długą dysputę był zbyt wesoły, śmiał się długo i serdecznie.

— Niech pana Pan Bóg kocha, jak pan to umie obrócić. Wszak mówiłeś sam o tych swoich przekonaniach.

— Dobrze już, panie Jellyband, ale Pismo mówi: „Kto stoi, niech patrzy, aby nie upadł“.

— Patrzajcie! — odcinał się pan Jellyband, pokładając się ze śmiechu. — Pismo Święte napewno nie stosuje tego do mnie. Jaby z takim mordercą, Francuzem, szklanki piwa nie wypił. Cóż to? Po ludzku mówić nie umieją. Niech noby który wybrał się do mnie ze swoim szwargotem, naplułbym mu w twarz, jak tu stoje!

— Widzę, przyjacielu, że z ciebie ostra sztuka! — zagadnął uprzejmie cudzoziemiec. — Dałbyś radę i dwudziestu Francuzom, piję na twoje zdrowie i zapraszam. Skończmy razem tę buteleczkę wina.

— Nie zaszkodzi wychylić lampeczkę, kiedy pan grzecznie prosi! — rzekł pan Jellyband, ocierając łzy ze śmiechu.

Obcy nalał dwie czarki i podał jedną gospodarzowi.

— Wiernymi Anglikami jesteście wszyscy! — powiedział, i błady, sarkastyczny uśmieszek błakał się po wąskich jego wargach. — Ale przy całej naszej wierności dla Anglii trzeba

przyznać, że wino, to choć jedna dobra rzecz, która przychodzi do nas z Francji.

— Temu nie przeczymy! — przyznał oberżysta

— A nasz gospodarz, to najlepszy oberżysta w Anglii całaj! — zawołał obcy doniosłym głosem.

— Hip, hip, hurra! — wołała cała kompania i klaskaniu rąk, stukaniu kufli, śmiechu i wykrzyknikom nie było końca.

Pan Jellyband dogadywał:

— I proszę ja kogo. Żeby mnie obcy niedowiarek mógł wyperswadować! Niech was Pan Bóg kocha, ale chyba stroicie zabawne żarty...

A obcy przytakiwał mu. Ktożby próbował zachwiać przekonaniem gospodarza, który wszystkich mieszkańców kontynentu Europy miał za nic.

ROZDZIAŁ III. ZBIEGOWIE.

Przemyślnicy i kupcy mieli ciągle stosunki z Francją. To też wieści przybywały z za wody i ludność angielska dowiadywała się o mordach, uwęzieniu króla, prześladowaniu młodej królowej z dziećmi i zawziętości, z jaką ścigano rodzinę Bourbonów i tych, którzy byli ich stronnikami. Gotowała się krew, burzyło serce każdego uczciwego Anglika. Marzyli o tym, żeby tych tam za kanałem dobrze przetrzepać. Rząd jednak nie mógł zdobyć się na krok stanowczy.

O ile Burke chciał stłumić ten nowy porządek w sąsiednim państwie, o tyle wstrzymywał go Pitt przezorną ostrożnością, przedstawiając trudności i wydatki, które pociągnęłaby za sobą taka wojna. Wszak to Austria w pierwszym rzędzie powinna podnieść rękę. Wszak to austriackiej dynastii córka cierpi w więzieniu, zdetronizowana i znosi haniebne upokorzenie od wściekłych tłumów. Póki to nie nastąpi, nie wolno Anglii mieszać się w to, że jedna partia Francuzów uciska i morduje drugą. Jellyband i wszyscy jemu podobni John Bulle, mimo, że dla cudzoziemców żywili głęboką pogardę w ogóle, w tym wypadku jednak, jako rojaliści i anty-rewolucjoniści, wściekali się na Pitta za jego ostrożność i umiarkowanie, nie rozumieli głębokich dyplomatycznych powodów, które kierowały jego polityką.

Dyspułujące grono ludzi nie zwróciło uwagi, że przed drzwiami oberży stanął jeździec, przemokły do nitki; stajenny już uprowadzał wodą ociekającego konia, a Sally, wypatrzwszy go przez okno, wybiegła do izby wzruszona i zadyszana.

— Widziałam konia lorda Antoniego na podwórzu, ojczel — mówiła, biegnąc ku drzwiom.

Ale drzwi już były otwarte, ręka okryta płowym, od wody ciężkim suknem, chwyciła Sally w pól, a wesoły głos zawołał:

— Bystre są twoje płwne oczka, piękna Sally!

I gdy gospodarz spieszył z ukłonami i zapewnieniami swej gotowości służenia tak wysokiemu gościowi, lord Antony ucałował świeże liczek dziewczyny i rzekł, zwracając się do ojca:

— Coraz to piękniejszy! Musisz przyjacielu mieć kłopot z zalotnikami do tej ślicznej panienki. Jak sądzisz, panie Waite?

Pan Waite uśmiechnął się rad nie rad, bo szacunek nie pozwalał okazywać lordowi, że się jego konceptu nie pochwała.

Lord Antony Dewhurst, jeden z synów księcia Exeter, był uosobieniem typu angielskiego szlachcica z owych czasów. Wysoki, silny, wesoły, śmiał się często i szczerze. Dobrze wychowany, uprzejmy, był powszechnie lubiany w salonach za swój stały humor.

Znany był dobrze w „Spoczynku Rybaka“, bo częste odbywał podróże i wstępował zawsze, jadąc tam i z powrotem.

Kiwnął głową znajomym, Waitowi, Pitkinsowi i innym, puścił Sally i poszedł do ognia ogrzać się i ubranie trochę osuszyć: idąc, rzucił wokoło bystre spojrzenie, a dostrzegłszy dwóch cudzoziemców, grających w domino, zastanowił się na chwilę i przelotny niepokój odmalował się na wesołej jego twarzy.

— Aha, panie Hempseed! — zwrócił się do starca. — A jakże z owocami w tym roku?

— Żle, milordzie, badrze źle! — stęknął pan Hempseed żałośnie. — Ale cóż lepszego spodziewać się można z takim rządem, który proteguje tych tam łotrów we Francji i pozwala im bezkarnie mordować króla i szlachtę.

— Ciężka bieda! — odpowiedział sir Antony. — Mordują go tylko złapią. Właśnie przyjeżdżają tu moi znajomi, którzy się stamtąd szczęśliwie wydobyli.

— Dzięki wam, jak słyszałem milordzie... — urwał Jelly-

band, bo w tej chwili uczuł lekkie, ostrzegawcze dotknięcie ręki lorda.

— Cicho! — szepnął, patrząc podejrzliwie na dwóch obcych ludzi.

— Oh! Bez obawy, milordzie. Są to wierni poddani naszego króla, jeden niedawno przybył do Dowru, załatwia tu jakieś interesy.

— Interesy? Wygląda tak poważnie, że chyba jest przedsiębiorcą pogrzebowym?

— Nie, mylordzie, owdowiał niedawno i dlatego taki smutny, ale to nie wróg, za to ręczyć mogę, a znam się na ludziach, to już należy do mojego fachu.

— No, dobrze! — powiedział sir Antony, unikając dalszej dyskusji. — A kogóż tu jeszcze macie?

— Nikogo nie mamy, ani się nie spodziewamy, chyba...

— No, powiedz wyraźnie, kogo?

— Sir Percy Blackeney przyjedzie tu za chwilę z żoną, ale oni tylko tu wstąpią...

— Lady Blackeney? — zapytał zdziwiony sir Antony.

— Tak. Był dopiero co szyper ze „Snu“ i mówił, że brał milady ma płynąć przez kanał ich yachtem. A sir Percy odprowadza go z żoną. Ale to was może nie rozgniewa milordzie?

— Nie, przyjacielu, nic mnie nie rozgniewa, byle kolacja była najlepsza z tych, które tu podają.

— Nie ma obawy! — zapewniła Sally, zajęta ustawianiem stołu i nakryciem. — A na wiele osób?

— Pięć nakryć, ale jedzenia na dziesięć, wszyscy będą głodni a przypuszczam i głodni. Sam zjadłbym ćwiartkę wołu.

— Oho! Już są niezawodnie! — powiedziała Sally. — Słyszę wyraźnie uderzenia kopyt i turkot kół.

Uczył się ruch w sali, każdy był ciekawy przyjaciół lorda. Sally zerknęła w lusterko, czcigodny właściciel zajazdu spieszył do drzwi, ażeby najpierw powitać tak wspaniałych gości.

Tylko dwaj obcy nie dzielili ogólnego wzruszenia. Grali dalej spokojnie i nawet na drzwi nie spojrzeli.

— Prosto, pani hrabino, a potem drzwi na prawo! — mówił ktoś dźwięcznym głosem.

— Tak! To oni w dobrym zdrowiu! — wołał lord Antony weselo. — Sally, biegnij, zobacz, czy prędko nam tupe podasz?

Drzwi otwarto — wśród ukłonów i powitań wprowadził pan Jellyband dwóch panów i dwie panie do zajazdu.

— Witajcie! Witajcie w Anglii! — wołał sir Antony serdecznie, wyciągając ku nowo przybyłym obie ręce.

— Ach, więc to pan jesteście lordem Antony Dewhurst! — powiedziała jedna z pań wybitnie cudzoziemskim akcentem.

— Tak jest, do usług pani! — odrzekł, całując ręce obydwom i potrząsając w uścisku ręce panów.

Sally pomogła zdjąć płaszcze i znikła za drzwiami kuchni. Rybacy stali z uszanowaniem. Pan Jellyband ciągle w ukłonach ustawiał krzesła przed ogniem a pan Hempseed ustąpił z przed ognia, i usuwał się powoli, ciągle zwrócony twarzą ku przybyłym.

— Ach! Panowie, cóż mam wam powiedzieć? — rzekła powoli jedna z pań, patrząc kolejno na sir Antoniego i drugiego pana, który z nią razem przybył.

— Żeś zadowolona, hrabino, ze swojego do Anglii przyjazdu i że podróż ta trudna nie umęczyła cię nadto. — powiedział lord Antony serdecznie.

— Ach! Tak. Szczęśliwa jestem, że jesteśmy już w Anglii, — tu oczy jej zaszyły łzami — zapomnieliśmy już o minionych cierpieniach.

— Mam nadzieję, że sir Andrew Tfoulkes, mój przyjaciel okazał się przyjemnym towarzyszem podróży? — zapytał sir Antony.

— Oh, rzeczywiście, sir Andrew był samą dobrocią. Nie wiem, jak my i nasze dzieci potrafimy wam podziękować za wszystko, coście dla nas zrobili.

Towarzyszka jej, panna o delikatnej, dziewczęcej postaci dziecinnie otwierała duże ciemne oczy i oglądała się wokoło

Blada i zmęczona podróżą twarzyczka jej ze śladami srogich udrapień i zgryzoł, ożywiła się i zarumieniła, gdy Sir Andrew Tfoulkes zbliżył się do ognia.

— Więc to jest Anglia? — rzekła, patrząc z wdzięcznością i podziwem na młodego człowieka.

— Dopiero jej częśćka, — odrzekł sir Andrew — ale cała wita panią i jest na jej usługi.

Dziewczę zarumieniło się znowu, a uśmiech rozjaśnił jej twarzyczkę. Sir Andrew milczał, ale widoczne było, że dobrze się rozumieją, nie mówiąc, jak bywa od początku świata między młodymi ludźmi, którzy mają dla siebie sympatię.

— Ale kolacja! — upominał Sir Andrew. — Kolacja, zacny panie Jellyband! Gdzie twoja piękna córeczka i waza z zupą? Stoicie tu, a panie mdleją z głodu.

— Za momencik! Minutę, milordzie! — i Jellyband podbiegł do drzwi kuchni, wołając wesoło: — Sally! Hej tam Sally! Czyś już gotowa, moje dziecko?

Ale Sally była gotowa i weszła, niosąc ogromną wazę, z której dymiąca para roznosiła apetyczny zapach.

— Ciężkie życie moje! W końcu jest kolacja! — mówił wesoło Sir Antony. — Czy mogę panią prosić? — dodał, podając ramię hrabinie.

Stół przybrany pękiem georginii, talerze z niebieskiej porcelany, świecące, miedziane kubki i czarki wyglądały zachwycająco. Gospodarz przysuwał krzesła, nalewał wina, a córka jego rozlewała zupę na talerze. Sally przybrana odświętnie wyglądała tak uroczo, że młody wicehrabia wpatrzył się na nią z podziwem i zawołał:

- Zachwył, jeśli to ma być Anglia!

— Tak jest! — powiedział surowo sir Andrew. — To jest Anglia i o tym nie zapominaj, ty niepoprawny uwodzicielu, my nie lubimy obcych zwyczajów.

Na szczęście pan Hempseed i towarzysze wynosili się z fajkami do kuchni, zabierając ze sobą i Harrego Waita. Czas był najwyższy, wpadał on bowiem we wściekłość, gdy zalotna Sally

podobała się komu i tylko obecność Lorda Antoniego nakazywała mu taki szacunek, że dołąd milczał.

— Zuzanno! — surowo powiedziała hrabina. — Siadajmy już do stołu.

— Jestem mamol!

I dziewczyna przywołana do rzeczywiście po czulej wymianie spojrzeń z panem Tfoulkes, zarumieniona usiadła pośpiesznie przy swoim nakryciu.

ROZDZIAŁ IV. SPRZYSIĘŻENIE ANYŻA.

W przeciwnym kącie dwaj obcy skończyli grę w domino. Jeden z nich naciągał powoli długi płaszcz o trzech pelerynach, drugi ukląkł i po chwili wczołgał się na czworakach pod ciężką dębową ławkę — znikł kompletnie w tym wygodnym schowku.

Posilające się wesoło towarzystwo zbyt było sobą zajęte, żeby zauważyć ten podejrzany manewr. Mimo to jednak, gdy cudzoziemiec, oświadczyszyszy głośno „Dobranoc“, wyniósł się z kawiarni, wszyscy odetchnęli swobodniej.

— Nareszcie, jesteśmy sami! — rzekł sir Antony wesoło.

Wtedy młody wicehrabia wstał, podniósł w górę czarkę i powiedział łamaną angielszczyzną:

— Piję zdrowie Jego Królewskiej Mości Jerzego III, króla Anglii! Niech Bóg mu błogosławi za gościnność, okazaną nam, biednym zbiegom z Francji!

— Zdrowie króla! — i obaj Anglicy wychylili czarki z zapalem. — A teraz zdrowie jego Królewskiej Mości, Ludwika XVI, króla Francji! — mówił Sir Andrew uroczyście. — Niech Bóg go wspomaga i pozwoli mu zwyciężyć wrogów.

Wszyscy powstali, pijąc w milczeniu.

Los nieszczęśliwego króla, więzionego przez własnych podnych, zasmucał każdego; nawet niefrasobliwy gospodarz stał przygnębiony.

— Zdrowie hrabiego Tournay de la Basserive! — wniósł sir Antony. — Abyśmy za niewiele dni powitali go w Anglii.

— Ach, panie, — rzekła hrabina drżącymi ustami — za-
ledwie śmiem się tego spodziewać.

Na chwilę rozmowa ustała... Jellyband i Sally zmieniali
talerze i dania, każdy z podróżnych potrzebował posiłku.

— Ufajmy! — rzekł w końcu lord Antony. — Kiedy pa-
trzę na panią, pannę Zuzannę, mego przyjaciela, wicehrabiego
i widzę was tu bezpiecznych, nabieram otuchy co do ocalenia
męża pani...

— Ja też ufam Bogu... Modłę się i mam nadzieję... —
szepnęła hrabina.

— Tak, pani, — wmieszał się sir Andrew — ufaj Bogu
i wierz także swoim przyjaciółom choć trochę, przecież przy-
sięgli, że go przeprawią przez kanał, tak jak i was dzisiaj.

— Tak, to prawda, wierzyć im trzeba, bo też cudów doka-
zali. Kilku znajomych naszych wyratowali już prawie z objęć
Komitetu Rewolucyjnego. I to wszystko zrobili wasi przyja-
ciele.

— My jesteśmy tylko narzędziem, pani hrabino.

— Ale mój mąż — mówiła załzawionym głosem hrabina
— jest naprawdę w niebezpieczeństwie. Nie byłabym go po-
rzuciła nigdy... gdyby nie dzieci..., które beze mnie jechać nie
chciały..., obiecali mi uratować go... Ale teraz, gdy jestem tu-
taj... w tej pięknej, wolnej Anglii, a pomyślę, że on tam kryje
się, jak zwierz tropiony... i ciągle w śmiertelnym niebezpieczeń-
stwie... Nie, nie powinnam go była porzucać!

Rozpłakała się cichutko biedna kobieta; była widocznie zła-
mana; zmęczenie, zgryzoty i wzruszenia odebrały jej możność
opanowania się. Zuzanna przybiegła ratować ją i pocieszać.

Sir Antony i sir Andrew milczeli; zwyczajem Anglików po-
krywali spokojem najgłębsze wzruszenie.

— Co do mnie — powiedziała Zuzanna, patrząc na lorda
Tfoulkes — ufam, wierzę i wiem napewno, że nam ojca do
Anglii przywieziecie tak, jak nas sprowadziliście tutaj.

To silne przekonanie osuszyło łzy matki, każdy z obecnych
uśmiechał się serdecznie do tej dziecięcej ufności panienki.

— Życie oddałbym na twoje usługi, pani — zapewnił sir An-

drzew — ale tylko lichym narzędziem być potrafię. Ucieczkę i życie zawdzięczacie naszemu naczelnikowi.

— Wasz naczelnik, panie? — podchwyciła hrabina. — Naturalnie, musicie mieć przywódcę, że też nie pomyślałam o tym. Panie, powiedz prędko, gdzie on jest? Chcę pójść razem z dziećmi i rzucę mu się do nóg, aby mu podziękować za wszystko, co dla nas uczynił.

— Niestety, pani, jest to rzecz niemożliwa! Anyża nikt nie zna, chyba pod pieczęcią tajemnicy najbliżsi jego towarzysze.

— Anyż! — zawołała Zuzanna. — Jakie dziwne nazwisko! Panie, powiedz, kto to jest?

Patrzyła ciekawie. A na twarzy młodzieńca malował się taki zapał, taka miłość i podziw dla bohatera, że zmieniony i jakby natchniony odpowiedział.

— Anyż, jest to przybrane nazwisko, które ukrywa najszlachetniejszego i najodważniejszego z ludzi, to nazwa pospolitego kwiatka pewnego ziele używanego w medycynie.

— Ah, tak — wmieszał się do rozmowy młody wicehrabia, — słyszałem o anyżu w botanice, to mały kwiatek. Opowiadali w Paryżu, że ile razy umknął jaki rojalista, to ten diabeł wcielony, Fouquier Tinville, prokurator publiczny, dostaje karteczkę z małym czerwono narysowanym kwiatkiem. Czy tak jest istotnie?

— Tak, dzieje się to zawsze! — potwierdził sir Antony.

— Więc on i dziś dostanie taką kartkę?

— Niezawodnie.

— Oh! Ciekawam, co wtedy powiel — zaśmiała się wesoło Zuzanna. — Słyszałam, że niczego na świecie tak się nie boi, jak tego kwiatka!

— Miał dość sposobności przyjrzeć mu się dokładnie! — zapewnił sir Andrew.

— Nie mogę zrozumieć, — mówiła hrabina — dlaczego wasz naczelnik oraz wy wszyscy wydajecie pieniądze i narażacie wasze życia, bo przecież we Francji bezpieczni nie jesteście.

cie, ażeby ratować nas, Francuzów? Cóż my was obchodzić możemy?

— Dla sportu! — pani hrabino. — Anglicy to naród sportsmenów. A jak to miło wyrwać psu z pyska zajączka!

— Oh, nie wierzę panu. Robiąc tyle dobrego, musicie mieć szlachetniejsze pobudki.

— Doprawdy, będę się cieszył, jeżeli je pani wynajdzie, bo to do mnie, po prostu podoba mi się ta zabawa. To jeden z najpiękniejszych sportów te diabelsko ryzykowne sztuczki, już, już o włos od śmierci. A jednak wymykamy się... W górę serca, dalej, jazda...

Hrabina potrząsnęła głową. Nie rozumiała jeszcze.

Wciąż ci młodzi, dobrze urodzeni, bogaci ludzie idą śmiało w samą paszczę rewolucji, ażeby dla własnej przyjemności wyrwać ludzi prawie z pod noża gilotyny? Pamiętała dobrze swoją ucieczkę, jak leżała z dziećmi na wózku, pod główkami kapusty i rzepy, nie śmiąc oddychać prawie, a tłumy wokoło wyły — „na latarnię arystokratów!” — Myślała, że lada chwila odkryją ich i uprowadzą z wózka!

A jak to było dziwne i cudowne zarazem: najpierw powiadomiono ich, że są na liście „podejrzanych”; równało się to wyrokowi śmierci, więc oczekiwali jej z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Potem błysnął promyk nadziei: zagadkowe pismo z kwiatkiem anyżu, najdokładniejsze wskazówki, jak postępować... Potem rozdzierające z mężem rozstanie, ucieczka z dziećmi, kryty wózek, straszna wiedźma, powożąca batogiem ze śmiertelną ozdobą, obawa strażników przed dżumą, jej żarty z tego powodu, w końcu wyjazd z Paryża...

Rozejrzała się po ścianach oberży... Oto siedzi tu w ciemnym zakątku, bezpieczna, a tamto, to wszystko, to zły sen tylko...

„Ale ci młodzi, którzy z narażeniem życia tego dokonali, mówią, że to dla sportu, to niepodobna.”

Oczy Zuzanny, wpatrzone w lorda Andrewa, mówiły wyraźnie, że wierzy i podziwia ich szlachetność, że im sercem i duszą całą jest wdzięczna.

— I wieleż was jest w tym szlachetnym sprzysiężeniu? — zapytała.

— Dwudziestu! Jeden prowadzi, a dziewiętnastu wykonują rozkazy. Wszyscy są Anglicy i związani są przysięgą posłuszeństwa dowódcy w celu ratowania niewinnych.

— Niechże was Bóg strzeże! — westchnęła pobożnie hrabina.

— I strzegł dotychczas, a tam o zdradę tak łatwo.

— Co jednak dziwne, — wtrącił młody wicehrabia — to to, że we Francji kobiety bardziej są zawzięte przeciw arystokratom, aniżeli rząd.

— Oh, tak! — potwierdziła hrabina, a wyraz pogardy i smutku odbił się na jej arystokratycznej twarzy. — Bywają takie, na przykład Małgorzata St. Just, aktorka z Komedii Francuskiej, zadenuncjowała całą rodzinę St. Cyr przed strasznym Trybunałem Terroru. Wyszła potem za mąż za Anglika, może znacie ją panowie?

— Czy ją znamy? — tu lord Antony rzucił krótkie, porozumiewawcze spojrzenie lordowi Tfoulkes. — Naturalnie, wszak to najświetniejsza z kobiet w Londynie, a jej mąż — najbogatszy. Znamy wszyscy lady Blackeney.

— Byłyśmy koleżankami w klasztorze — wtrąciła żywo Zuzanna — i razem jeździłyśmy do Anglii, żeby się dobrze nauczyć języka waszego. Kochałam Małgorzatę i nie mogę uwierzyć, żeby postąpiła tak nieuczciwie.

— To rzeczywiście wydaje się nieprawdopodobne — zapewniał sir Andrew. — Ona miałaby zadenuncjować markiza St. Cyr? Dlaczegożby to robiła? Może to jakaś pomyłka?

— Pomyłka jest wykluczona! — ucięła zimno hrabina. — Markiz de St. Cyr jest moim krewnym. Było jakieś zajście pomiędzy nim a młodym St. Justem. St. Juści to plebejusze, a rząd rewolucyjny różnych ma szpiegów. Czy nie słyszeliście, panowie, o tej historii?

— Coś tam opowiadano, ale w Anglii nikt temu nie wierzył. Lord Blackeney należy do zaufanych księcia Walli, a jego żona jest najpierwszą damą w salonach towarzystwa

— Wzłękł Bogu, że w Anglii będziemy prowadzić ciche życie, — powiedziała hrabina — bo przyznaję otwarcie, że za nie w świecie nie chciałabym spotkać Małgorzaty St. Just.

I wyprostowała się w swym krześle sztywna, dumna, jakby od reszty świata odgradzona murem swych arystokratycznych uprzedzeń.

Zuzanna ucichła i posmutniała.

Sir Andrew bawił się niespokojnie swym widelcem, a sir Antony zapytał po cichu również przerażonego Jellybanda:

— Kiedy mają tu być?

— Przybędą lada chwila.

Dochodził już z daleka turkot powozu, chłopak stajenny błęł już drzwi otwierać i zawołał z całej siły:

— Sir Percy Blackeney i mylady!...

Ze stukiem i nawoływaniem służby, brzękiem uprząży i głuchymi uderzeniami kopyt końskich o kamieniem wyłożone podwórze, wspaniała czwórka bułanów, zaprzężonych do wytwornej karety, zatrzymała się przed „Spoczynkiem Rybaka”

ROZDZIAŁ V. MAŁGORZATA.

Powstał popłoch i zamieszanie w izbie zajazdu.

Lord Antony zerwał się i z modnym zakłębieniem na ustach chwycił Jellybanda za ramiona.

— Zmiłuj się, zatrzymaj lady Blackeney na dworze, niech te panie odejdą. A to nieszczęście!

— Świecę, Sally! Dawaj prędko świecę! — wołał oberżysta, biegając tu i ówdzie zrozpaczony.

Hrabina powstała.

— Nie, nie, nie chcę jej widzieć! — powtarzała, prostując swą wyniosłą postać.

Od drzwi słychać było cały chór powitań i radosnych wykrzykników, — to służba w oberży objawiała swą radość. Jakis żebrak prosił głośno o jałmużnę, a dzwieczny, dziwnie miły głos odezwał się:

— Zostawcie w spokoju tego biedaka i dajcie mu kolację na mój rachunek...

Sally stała ze świecami u drzwi, prowadzących na piętro. Hrabina spieszyła się, Zuzanna ociągała się w nadziei, że choć zobaczy swoją ukochaną koleżankę. Jellyband stał w obronnej postawie u drzwi, licząc, że odwróci katastrofę, choć nie wiedział, jakim sposobem.

Drzwi otworzyły się i miły głos zawołał wesoło z udanym przerażeniem:

— Brrr! Co za czas! Zmokłam, jak śledź!

— Zuzanno, chodź zaraz, ja sobie tego życzę..

— Oh! Mamo! — prosiła Zuzanna.

— Mylady... er... hm... Mylady!... — stękał Jellyband.

— A toż co znowu, mój dobry człowieku? — zawołała lady Blackeney. — Czemu stoisz mi w drodze? Puść mię do ognia, bo umieram z zimna.

W końcu odsunęła gospodarza i weszła do izby.

Istnieją portrety i miniatury Małgorzaty St. Just, które wiernie oddają jej piękność, ale wdzięku jej i uroku żaden pędzel odmalować nie potrafił. W tym czasie miała lat dwadzieścia pięć, słusznego wzrostu, królewskiej postawy, miała klasyczne rysy, drobne usta i nos jakby rzeźbiony. Duży kapelusz z powiewającymi strusimi piórami i niebieska aksamitna suknia uwydatniały jeszcze piękność i doskonałą proporcję całej budowy. Nawet hrabina zatrzymała się na chwilę, podziwiając tę postać.

Przybyła rozejrzała się po pokoju, skłoniła wdzięcznie lordowi Tfoulkes i wyciągnęła rękę do lorda Dewhurst.

— Holla! Lord Tony, a co pan tu robi w Dowrze? — zapytała wesoło.

Potem, nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do hrabiny i Zuzanny. Na widok tej ostatniej, twarz jej rozjaśniła się jeszcze więcej i wyciągnęła obie ręce.

— Jakto, wszak to moja mała Zuzanna? Jakżeście się tu dostały? I pani także, hrabino?

Szła ku nim z wylaniem serdecznym, ani cienia zażenowania nie było po niej widać. Dwaj młodzi Anglicy uważnie śledzili tę scenę. Znali stosunki we Francji i wiedzieli, jak dumnymi i nieprzystępnymi byli arystokraci dla niżej urodzonych. A cóż dopiero po tak świeżych zajściach. Zatarg z rodziną St. Cyr załatwiła krwawo partia rewolucyjna, na której czele stanął St. Just. A teraz po tym triumfie, który tyle rodzin zgubił, mienia i życia pozbawił, oto stoi latorośl tego nienależącego do arystokracji, a dziś na czele stojącego rodu i wyciąga rękę zgody i pojednania.

— Zuzanno, zakazuję ci mówić z tą kobietą! — rzekła hrabina surowo, przytrzymując rękę swej córki.

I jakby umyślnie, powiedziała to po angielsku, ażeby wszyscy mogli zrozumieć.

Oberżysta zdębiał na tę bezczelność cudzoziemki, nie wierzył swoim uszom, żeby lady Blackeney, Angielka, bo za taką ją uważał, żona przyjaciela księcia Walii, mogła być narażona na coś podobnego.

Lordowi Tony i lordowi Andrew serca bić przestały, pałrzyli na drzwi, za którymi ktoś wydawał służbie rozkazy, przesadnym, ziewającym głosem, jakgdyby stamtąd spodziewali się ratunku.

Względnie najspokojniejszymi były obie zainteresowane rozmową kobiety; hrabina ściągnęła usta i patrzyła surowo, wyzywająco. Małgorzata pobladła i zacisnęła rękę koło wysokiej laseczki, którą z pękiem wstążek kolorowych nosiły wtedy eleganterki.

Ale to trwało chwilę, Małgorzata rozpogodziła czoło i patrząc pięknymi, niebieskimi oczyma na sztywną hrabinę, zapytała prawie wesoło:

— Co ci jest, obywatelko? Co za mucha cię ukąsiła?

— Jesteśmy już w Anglii, pani! — powiedziała hrabina zimno. — I tu chyba wolno mi zakazać córce przyjaźnić się z panią. Chodź Zuzanno!

Potem złożywszy niski dworski ukłon dwum panom, pociągnęła córkę i znikła za drzwiami.

Małgorzata patrzyła za nimi poważnie. W chwili, gdy posłuszna Zuzanna miała minąć drzwi, wzrok ich spotkał się. Serdeczny, dzieciennie szczery wyraz oczu Małgorzaty ujął Zuzannę. Nie wahała się dłużej. Z szczerym wylaniem rzuciła się Małgorzacie na szyję i uściśkała ją serdecznie, po czym pobiegła za matką.

Groźna atmosfera rozjaśniła się. Wszyscy poweseleli.

Małgorzata zręcznym ruchem przesłała koniuszkami palców całusa w stronę odchodzących.

— Aha, więc to tak? — mówiła wesoło. — Czy widział kto kiedy równie nieprzyjemną osobę? Nie chciałabym być do niej podobną na starość.

Zebrała suknie i mówiła, naśladowując ostry głos hrabiny:

— Zuzanno, zakazuję ci mówić z tą kobietą! — po czym kroczyła pompatycznie wzdłuż izby.

Było w jej głosie trochę goryczy, ale młodzi panowie nie byli zbyt bystrzymi obserwatorami, bili brawo, uszczęśliwieni z tej groteski.

— Ah! Lady Blackeney, jak wielkie masz zdolności sceniczne. Sir Percy musi być znenawidzony w Paryżu, że zabrał cię ze sceny?

— Cóż znowu. — odrzekła z lekkim wzruszeniem ramion. — Któż mógłby nienawidzić sir Percy'ego, on by nawet hrabinę rozbroił swoimi conceptami.

Młody Francuz wicehrabia wołał pozostać na dole i gotów był ująć się za matkę, gdyby zachodziła potrzeba. Ale już mówiono o czym innym, a wkrótce doszedł ich głos inny, ziewający i nosowy, połączony z niemądrym śmiechem, drzwi się otworzyły i wszedł mężczyzna słusznego wzrostu w bardzo bogatym ubraniu.

ROZDZIAŁ VI.

DANDYS.

Sir Percy Blackeney miał w tym czasie około trzydziestu lat. Bardzo wysoki nawet na przeciętnego Anglika, byłby co się zowie pięknym mężczyzną, gdyby nie znudzony, ospały wyraz twarzy, i gdyby nie bezustanny śmiech idiotyczny.

Rok już minął od czasu, gdy sir Percy, najbogatszy dziedzic w Anglii, przyjaciel księcia i sam „książę mody“, zadziwił towarzystwo londyńskie, przywożąc z powrotem z podróży po Europie piękną, uroczą, rozumną żonę. Ten ospały, znudzony Anglik umiał zdobyć wielki los na małżeńskiej loterii, los, którego mu powszechnie zazdrozczono.

Małgorzata St. Just rozpoczęła występy swoje w paryskich kołach w chwili, gdy naród francuski dążył do największego socjalnego przewrotu, jaki zanotowała historia. Osiemnastoletnia, piękna, utalentowana, mając w bracie swym jedyne go opiekuna, stworzyła prędko w swym mieszkaniu przy ulicy Richelieu środowisko, które w owych czasach nazywano „salonem“. Było to towarzystwo ludzi bardzo inteligentnych, tak kobiet, jak mężczyzn. Będąc republikanką z przekonania, utrzymywała, że dziedziczne zalety, jak majątek i imię, są jej obojętne, pragnie gromadzić wyższe umysły i nimi się otaczać. Była to chwila, kiedy rozbudzone umysły, nowe prądy, burzyły się i ścierały wzajemnie, to też gwarno było i rojno w jej salonie, a młoda gospodyni wiodła rozmowy, kierowała dysputami i przewijała się wśród tłumu wybitnych ludzi jak gwiazda, wspaniała.

I raptem stało się coś, co było dla wszystkich

Z pośród tłumy swoich adoratorów wybrała lorda Blackeneya. Komentowano to rozmaicie. Jedni uważali to za kaprys artystki, drudzy — za przezorność, bo odczuła, że atmosfera umysłów we Francji grozi strasznym jakimś katalizmem i wołała usunąć się jak najdalej od grożącego wybuchem krateru. Dość, że ku zdziwieniu wszystkich pewnego pięknego dnia bez żadnych uroczystości weselnych i spraszania przyjaciół poszła do ślubu — najmądrzejsza kobieta w Europie — i wyszła za bardzo bogatego, wspaniale utytułowanego blazna. Bliżej ją znający odrzucali wszystkie te złośliwe komentarze. Nie ceniła ani pieniędzy, ani tytułu, a bogatych i dobrze urodzonych pretendentów do swej ręki miała dość we Francji.

Za lordem Blackeney mogła przemawiać tylko wielka jego dla niej miłość i zażyłość, jaka go łączyła z angielskim następcą tronu. Mając jednak na względzie, że zdolności jego umysłowe są bardzo ograniczone, uznawano powszechnie, że z jego strony byłoby rozsądniej, gdyby był uszczęśliwił mniej wybitną i rozumną żonę.

Sir Percy spędził większą część życia za granicą, matka po jego urodzeniu zapadła na ciężką, umysłową chorobę i ojciec woził ją i syna po różnych miejscach kontynentu w nadziei wyleczenia. Gdy po dojściu do pełnoletności sir Percy powrócił do kraju, zastał majątek swój ogromnie powiększony. Wkrótce później rodzice go odumarli, został więc panem kolosalnej fortuny.

Rzecz dziwna, pomimo że nie szukał znajomości, i większą część życia spędził za granicą, w Anglii, począwszy od księcia Walii, polubili go wszyscy. Został okrzyczany jako wzór elegancji i mody; powtarzano skwapliwie jego dowcipy; tłumaczono nawet śmiech jego idiotyczny, jako smutną spuściznę po chorej umysłowo matce.

Niewiadomo, czy to złoty klucz, który wszystkie drzwi otwiera, ułatwił mu poznanie Małgorzaty, czy też rzeczywiście kaprys pięknej artystki, dość że poślubiwszy najmądrzejszą kobietę w Europie, czuł się widocznie bardzo szczęśliwym. Piękna pani traktowała go trochę pogardliwie, brała go za cel swoich złośliwych żarcików, ale to nie psuło harmonii. Sir Percy jakby

nie spostrzegał złościwości, przyjmował wszystko z dobrodusznym uśmiechem. W Richmondzie zaś, rezydencji swej, otaczał ją zbytkiem i obsypywał klejnotami, ster domu jej oddając. Wywiązywała się też z tego zadania znakomicie i wkrótce wspaniały ich pałac w Richmondzie zabłysnął gościnnością i łaodem, a uprzejmość gospodyni przyciągała ludzi, którzy podobnie jak swego czasu w Paryżu, gromadzili się chętnie w jej salonie.

Sir Percy ubierał się kosztownie i dyktował Anglikom modę, od czasu zwłaszcza, gdy z Paryża przywiózł modę przesady, zwaną „Incroyable“ (nie do uwierzenia). Skombinowawszy ją z bardzo starannym krojem, kosztownymi jedwabiami i koronkami brukselskimi, przy pięknym wzroście i twarzy, mógł wzbudzać zachwyt, ale tylko tak długo, dopóki błazeńskimi ruchami i idiotycznym śmiechem i znudzoną twarzą nie popsuł wrażenia.

Wsunął się obecnie do obojętnej, a strzepnąwszy krople deszczu z pięknego okrycia, założył manokl na złotym łańcuszku zawieszony i patrzył na milczące towarzystwo.

— Jak się masz Tony? Jak się masz Andrew? — podał im rękę. — Niech ich, moi drodzy, z takim dniem w tym przeklętym klimacie naszym!

Małgorzata z żartobliwym uśmiechem zmierzyła go od stóp do głowy.

— No! — ciągnął po dobrej chwili milczenia. — Wszyscy wyglądacie jakoś głupio... Co tu się stało?

— Oh, nic sir Percy! — odpowiedziała Małgorzata z przymuszonym śmiechem. — Nic takiego, co by ciebie pozbawić miało równowagi. Ublżono tutaj twojej żonie!

Śmiała się, aby pokryć doniosłość zniewagi i udało się jej to widocznie, bo odpowiedział równie głośnym śmiechem.

— Nie!! Doprawdy? Nie może być. A któż był tym śmiałkiem?

Młody wicehrabia wystąpił i złożył przesadny ukłon.

— Panie! — mówił łamaną angielszczyzną. — Moja matka, hrabina Tournay de Basserville obraziła tę panią, która, jak wiadę, jest twoją żoną. Nie mogę przeprosić, bo uznaję, że wszyst-

ko, cō robi moja matka, jest słuszne. Mogę tylko służyć sały-sfakcją, jaką zwykli honorowi ludzie załatwiać podobne sprawy...

I wyprostował się drobny młodzieniec, gorący i pełen za-pału.

— Popatrzcie, sir Andrew! — rzekła wesoło Małgorzata. — Angielski indyk i francuski kogucik!

Porównanie było świetne. Francuski kogucik bardzo czu-purnie „stawiał się“ zdumionemu indykowi.

— Aha, panie! — ciągnął powoli sir Percy, zakładając monokl. — A gdzież to uczono was mówić po angielsku, młody kawalerze?

— Panie! — zawołał wicehrabia, stropiony, że tak obojęt-nie przyjmują jego wojownicze zamiary.

— To nadzwyczajne! — mówił dalej sir Percy niewzruszo-ny. — Nieprawdaz, Tony? Ja po francusku tak nie potrafię? Co?

— Nie rozumiesz chyba, panie, o co chodzi! — rozpoczął na nowo wicehrabia. — Proponuję ci jedyne wynagrodzenie, jakim mężczyźni za obrazę płacić sobie zwykli.

— A cōż to ma być u diaska? — zapytał sir Percy, udając, że nie rozumie.

— Moja szpada, panie! — powiedział wicehrabia, który mimo, że zbity z tropu, już zaczynał nabierać fantazji, bo wi-docznie tracił cierpliwość.

Sir Percy patrzył ospale na wicehrabiego, w końcu zmru-żył powieki, przeciągnął się, ziewnął i odwrócił się.

— Będajże cię! — mówił wesoło. — A na cōż mi twoja szpada?

— Pojedynek! — wybuchnął, pieniać się, choleryczny mło-dzieniec.

Sir Blackeney obejrzał się, popatrzył przez jakiś czas ze swojej sześciostopowej wysokości na młodzieńca, potem scho-wał ręce w obszerne kieszenie swego pięknego ubrania, roze-śmiał się przesadnym śmiechem i powiedział:

— Pojedynek? Tego pan chcesz? Bagatela, a to z pana krwi żądny urwis! Chcesz przedziurawić spokojnego człowieka? Co do mnie, to nigdy się nie pojedynekuję! — dodał, rzucając się na krzesło i wyciągając swoje długie nogi. — Bardzo to niewygodne, wszak prawda, Tony, takie pojedynki.

Wicehrabia wiedział, że w Anglii pojedynki są zakazane, mimo to, namyślał się, czy jednak nie uderzyć tego długonogiego magnata w twarz, ażeby tym sposobem zmusić go do walki, gdy w tej chwili odezwała się Małgorzata:

— Proszę cię, lordzie Tony, pogódź ich! To dziecko jest wściekle, mogłoby rzeczywiście zrobić coś złego memu mężowi! — dodała z lekkim uśmiechem. — Sir Percy potrafi rozłożyć wszystkich świętych, a sam nie straci spokoju ani na chwilę.

A Blackeney zachwycony tym, zwrócił się do młodego wicehrabiego:

— Diabelnie zręczna kobieta, nieprawdaż? Mądra kobieta, ta moja żona... Uznasz to pan, gdy dłużej pożyjesz w Anglii.

— Sir Percy ma słuszość! — odrzekł sir Antony, kładąc rękę na ramieniu wicehrabiego. — Nie wypada panu żadną miarą wywoływać pojedynku na samym wstępie w granice Anglii.

— A więc, — rzekł jeszcze wahająco wicehrabia — jeżeli pan nie ma pretensji, a pan, lordzie Tony, uznajesz to za dostateczne, to... uznaję swój błąd i odchodzę.

— Tak! Tak! Idź na górę! — mruknął z ulgą sir Percy. — A to szczeniak zajadły! Tfoulkes! Mówię ci i przepowiadam, że jeżeli taki gatunek zaczniecie obaj sprowadzać z Francji, to was Pitt zamknie i obłoży karą za przemytnictwo zwierząt drapieżnych.

— Zapominasz, sir Percy, — rzekła Małgorzata żartobliwie — że i ty swego czasu obdarowałeś Anglię okazem podobnego gatunku.

Blackeney wstał powoli, i składając głęboki ukłon żonie, powiedział uprzejmie:

— Los okazał się łaskawszym, a mój gust mnie nie zawiodł.

— Zawiodła za to rycerskość! — powiedziała złośliwie.

— Ciężkie życie, moja droga, bądź rozsądną! Czyż jestem poduszczyką od szpilek, żeby pozwolić się nakłuwać każdemu żabojadowi, któremu się twój nos nie podoba.

— Oh! Sir Percy! — śmiała się Małgorzata. — Nie bój się! To nie mój nos krytykują tak zajadle.

— Ja? Bać się? Jak widzę urągasz pani mojej odwadze? Nielada sportsman był ze mnie, wszak prawda, Tony? Biłem się przecież z Czerwonym Samem na pięści i dałem mu radę!

— Naprawdę tak było? — roześmiała się Małgorzata. — Szkoda, że cię nie widziałam, ha, ha, ha... To musiało być zabawne... Ale żeś się teraz przestraszył tego Francuzika... ha!... ha!... ha!...

— Ha! ha! ha! — wtórował sir Percy wesoło żonie. — Zaszczycasz mię pani. Tfoulkes! Patrz, rozśmieszyłem moją żonę, najmądrzejszą kobietę w Europie... Musimy wychylić z tego powodu puchar! — dodał, uderzając w stół pięścią... Hej! Jelly! Prędko, człowieku! Tutaj! Jelly!

Wesołość wróciła. Pan Jellyband zaczął przychodzić do siebie po tyłu doznanych w tak krótkim czasie wrażeniach.

— Wazę ponczu! Jelly! Tylko żeby był gorący i mocny! Fetujemy dowcip mądrej kobiety. Ha!... Ha!... Spiesz się, Jelly!

— Nie będzie już na to czasu, sir Percy! — zauważyła Małgorzata. — Sternik przyjdzie za chwilę, a jeżeli Armand teraz nie odpłynie, będzie musiał czekać do drugiego odpływu.

— Zdaje się, że młody pan tu idzie. — rzekł z szacunkiem Jellyband.

— To doskonale! — powiedział Blackeney — Armand wypije z nami. Czy myślisz, Tony, — tu zwrócił się do Francuza-wicehrabiego, — że ten krewki chłopak wychyli też szklaneczkę? Powiedz mu, że pijemy na zgodę.

— Kiedy się tu dobrze bawicie, — powiedziała Małgorzata — to pozwólcie, że pójde pożegnać brata.

Armand St. Just spędził kilka tygodni u siostry w Anglii, a teraz powracał do Francji. Wszyscy zrozumieli, że siostra

pragnęła być sama z bratem, zwłaszcza, że wracał do kraju, gdzie rewolucja nawet swoich wyznawców nie oszczędzała.

Sir Percy zerwał się, aby żonie otworzyć drzwi, za co otrzymał pobłażliwe spojrzenie i uśmiech tchnący trochę pogardą. Sir Andrew tylko spostrzegł, jak tęsknym, namiętym wzrokiem śledził odchodzącą Małgorzatę ten ospały, ziewający, roztarzniony wiecznie sir Percy, jej mąż.

ROZDZIAŁ VII.

ZWIERZENIA.

Wyszedłszy z gwarnej izby, Małgorzata przystanęła na progu, westchnęła smutnie, łzy przysłoniły jej oczy.

Deszcz przestał padać, zachodzące słońce rzucało ostatnie blaski na piękne brzegi Kentu, oświecało nędzne domki, cisnące się koło wieży admiralicji. Wspaniała jacht, „Sen“, własność lorda Blackeney, rysował się wyraźnie na tle jasnego nieba. Od przystani zbliżały się dwie męskie postacie. Młodszy, szczupły i pełen dystynkcji wyciągnął ku niej rękę.

Uśmiech serdeczny rozjaśnił jej smutne, zażawione oblicze. Za chwilę padli sobie w objęcia.

— Ile czasu do odjazdu, Brigss? — zapytała stojącego z szacunkiem na uboczu sternika i kapitana jachtu w jednej osobie.

— Powinniśmy najdalej za pół godziny podnieść kotwicę, mylady! — odpowiedział stary, siwy marynarz.

Ujawszy ramię brata, poprowadziła go ku skałom. Wiatr rozwiewał jej włosy, okręcał białą koronką, którą na głowę zarzuciła, całą jej smukłą postać. Patrzyła w dal, jak gdyby przestrzeń wzrokiem przebić chciała.

— Pół godziny! — powtórzyła. — Za pół godziny będziesz daleko ode mnie, Armandzie. Doprawdy, dni te ostatnie upływały jak sen. Gdy pomyślę, dokąd jedziesz i co cię tam spotkać może... Przecież to przerażające, co się tam dzieje! Jesteś republikaninem, ja też zachwycam się wolnością, ale teraz, musisz przyznać, nawet „ty“ musisz przyznać... oni idą za daleko.

— Cicho! — odpowiedział jej Armand, rozglądając się po dejrzliwie.

— A widzisz! Nawet tu w Anglii obawiasz się zdrady. Nie jedź tam, Armandzie, błagam cię... Cóż pocznę, gdyby... gdyby...

— Wracam do naszej pięknej ojczyzny, a gdy ona w niebezpieczeństwie, porzucać jej nie mogę. Bądź odważną, siostrze!

— Oh! Armandzie! Wolałabym, żebyś nie był tak wybitnym obywatelem, to byłoby bezpieczniej. Ale będziesz ostrożny... obiecaj?

— O ile to będzie możliwe... obiecuję.

— Pamiętaj, mój drogi, prócz ciebie nie mam nikogo na świecie, nikogo... kto by dbał o mnie...

— Ależ droga moja, ze światem inne węzły cię łączą. Sir Percy kocha cię...

— Kochał... dawniej... Ale o to się nie martw... Dobry jest zawsze dla mnie...

— Co to, to już trudno. — przerwał jej energicznie. — Owszem mogę być tym zmartwiony. Słuchaj, droga Margot, dawno chciałem cię zapytać, ale powstrzymywałem się zawsze w ostatniej chwili, nie odpowiadaj, jeśli nie masz ochoty... — dodał, widząc smutny i przerażony wyraz jej twarzy. — Czy sir Percy wie, że ty właściwie byłaś powodem aresztowania markiza St. Cyr. Czy wytłumaczyłaś mu wszystkie okoliczności, wśród jakich to nastąpiło?

Roześmiała się gorzko i smutnie. Dźwięczny i miły głos brzmiał głucho:

— Że zaskarżyłam markiza St. Cyr do trybunału i że on i cała jego rodzina poszli niezwłocznie na gilotynę?... Tak, powiedziałam mu to po ślubie, ale on już wiedział, nie było czasu na tłumaczenie mu łagodzących okoliczności... Nie mogłam poniżyć się bezcelowym usprawiedliwieniem...

— A teraz?

— Teraz mam przynajmniej w życiu to zadośćuczynienie, że najwięcej ograniczony człowiek w Anglii pogardza swoją żoną!

Mówiła z goryczą. St. Just spostrzegł, że nieostrożnie dotknął bolącej rany.

— Jednakże sir Percy kochał cię, Margot? — powtórzył łagodnie.

— Kochała mnie, tak sądziłam, inaczej nie byłabym go poślubiła. — mówiła szybko, jakby ciężar z duszy zrzucić chciała. — Wszyscy sądzili, a nawet ty mniemałeś, że wychodzę za niego dla jego majątku, otóż przysięgam ci, że nie. On ubóstwiał mnie. Jak wiesz, kończyłam rok dwudziesty czwarty, a nigdy nikogo nie kochałam, uważałam się za niezdolną do tego uczucia. Podobało mi się jego gorące, namiętne a tak wyłączone do mnie przywiązanie. Chciałam być tym bóstwem, tym przedmiotem, jedynym w życiu człowieka. Wiedziałam, że inni, rozumniejsi od niego mężczyźni mają swoje sprawy, interesy, ambicje. O nim wątpić nie mogłam, że odda mi całe swe uczucie. I spotkał mnie zawód, tępy umysł dziedzica tyłu odważnych i szlachetnych pokoleń, miał widocznie swoje drażliwe i pyszne przekonania. Wiem, jak bolał nad tym zdarzeniem z St. Cyrem, ale miłość dla mnie już w duszy jego na zawsze została pogrzebana.

— I od tego czasu nigdy nie nadarzyła się odpowiednia sposobność, abyś wytłumaczyła mu dokładnie to, co zaszło i ile w tym było twojej mimowolnej winy? Nie próbowałaś mu wyjaśnić prawdziwego swego udziału w tej nieszczęsnej historii z St. Cyrem?

— Nie było sposobności... Wiesz, jaki on jest zawsze obojętny na wszystko, co dotyczy jakichś poważniejszych rzeczy. Ile razy już chciałam naprowadzić rozmowę na ten temat, jakby odgadywał, że o tym mówić będę, przybierał swój idiotyczny, uśmiechnięty wyraz twarzy i jakiś błazeńskim konceptem zamykał mi usta... Nieraz nawet zadawałam sobie pytanie, czy nie czyni tego z rozmysłem, ale po chwili zastanowienia dochodziłem do przekonania, że czyni to bezwiednie, z zamiłowania do żarcików i błahostek... Uczucie jego ku mnie, które dawniej kazało mu być innym w moim towarzystwie, rozwinęło się i teraz traktuje mnie, jak wszystkich ze swego otoczenia, które stara się za wszelką cenę zabawić...

Lzy padały na białą koronkę, śliczna dziecięca twarzyczka patrzyła smutnie w mrok wieczorny.

St. Just nie przerywał. Rozumiał teraz, że są czyny, które nierozwaga, brak opieki i doświadczenia mogą tłumaczyć, ale nigdy zupełnie usprawiedliwić. Rozumiał i nie potępiał swego

dumnego szwagra, ale żałował też tej pięknej, opuszczonej i smutnej siostry, która z rozpaczłą miłością garnęła się do niego, gdy tak szli razem po skałach, ku przystani.

Znalazłszy się w przystani długo nie mogli rozstać się ze sobą. Nie rozmawiali wiele, przerzucali się tylko oddzielnymi słowami; obiecał jej, że będzie ostrożny w słowach i postępowaniu, żeby nie narazić się niczem okrutnemu Trybunałowi, którzy za najmniejszym podejrzeniem, za pierwszą lepszą denuncjacją złośliwą nie oszczędza i swoich, tych, którym zawdzięczał swoje istnienie.

— Do widzenia, Armandzie! Do widzenia! Pamiętaj o tym że obiecałeś powrócić wkrótce.

— Do widzenia, Małgorzato. Obiecuję ci, jeżeli tylko nie będzie moja obecność w ojczyźnie niezbędna, wrócić tu do was i znów pobyć w waszym miłym towarzystwie.

— Pamiętaj, staraj się to zrobić jak najprędzej... Tak ciężko mi rozstawać się z tobą.

— Do widzenia, kochana Małgorzato! Bądź dobrej myśli. Wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ VIII.

PEŁNOMOCNIK FRANCJL

Ściemniało się, Małgorzata patrzała na oddalający się jacht, który zabierał jej brata. Trzeba było wracać. Jakże wdzięczną była mężowi, że w tej chwili pozostawił ją samą, pomimo że zawsze otaczał ją liczną i doborową służbą. Z dziwną jak na tępy umysł jego delikatnością, umiał pozostawić jej pożądaną w danej chwili swobodę.

Była mu wdzięczną, wdzięczną do tego stopnia, że aż wyrzucała sobie złośliwe przycinki, żarty i drwinki, którymi go zawsze atakowała. Gdybyż mogła go dotknąć i obrazić, gdyby mogła rozgniewać! Starala się okazywać mu pogardę, odwdzińczyć się za tę, którą on w duszy dla niej piastował, ale nie zdawał się tego spostrzegać.

Nie dziwnego, dla człowieka, którego całą uwagę pochłaniał nowy krój fraka, lub świeży węzeł krawatki, nie było po-cisku, by złośliwą intencję zrozumiał. A jednak pamiętała go innym, kochającym gorąco, oddanym jak niewolnik, jak wierny pies! I ona wtedy czuła, że potrafi go kochać.

To trwało do dnia, kiedy w parafii św. Rocha pobłogosławiono ich związek.

Wróciwszy z kościoła, wyznała mu wszystko, co jej sumienie w sprawie St. Cyra wyrzucało. W pierwszej chwili przyjął to obojętnie, jak gdyby już wiedział, a może rzeczywiście poinformowano go. Od tej chwili miłość, namiętność, wszelkie objawy przywiązania znikły bezpowrotnie. Pozostał uprzejmym, troskliwym, uprzedzająco grzecznym, w całym słowa znaczeniu dobrze wychowanym mężem. bez cienia jednak dawnego, serdecznego uczucia.

Ołoczył ją zbytkiem, liczną służbą, pozostawiał duże sumy pieniędzy do rozporządzenia. Ale widywali się tylko przy ludziach, mieszkali każde w osobnym skrzydle pałacu, a wszelkie dowcipy i zaczepki z jej strony przyjmował tępym idiotycznym śmiechem, albo też równie niemądrymi, choć zawsze szarmanckimi odpowiedziami.

Próbowała rozbudzić w nim zazdrość, ale na wszelkie podobne próby pozostał obojętny.

Czy rzeczywiście winną była śmierci markiza de St. Cyr i jego rodziny? Pośrednio tak.

Przed wybuchem rewolucji jeszcze brat jej, Armand, zakochał się do szaleństwa w młodziutkiej i uroczej Anieli St. Cyr. I ten plebejusz, który miał odwagę podnieść oczy na córkę arystokratycznego rodu, pozwolił sobie dedykować jej i przesłać poemat, wyrażający gorące swe uczucie. Markiz de St. Cyr urażony tym niebывałym zuchwalstwem, nie namyślając się długo, polecił swym lokajom zacząć się w nocy, pochwycić Armanda St. Just, powlec go za miasto i obić porządnie za jego śmiałość. Fakt nie odosobniony, zdarzenia takie trafiały się często wobec dumy i wyniosłości szlachty francuskiej i bodaj czy nie podobne wybryki spowodowały wybuch rewolucji. Jakie uczucie mogła mieć młodziutka siostra na widok zbitego i poniżonego brata, który ledwo żywy przywłókł się do mieszkania. Ten brat o osiem lat starszy był jej ojcem, matką, opiekunem, najczulszym przyjacielem. Znienawidziła markiza de St. Cyr, pragnęła się zemścić za wszelką cenę. Otóż zdarzyło się w parę miesięcy później, że w jej kółku opowiadano o tajemnych machinacjach, o listach, pisanych do austriackiego cesarza, które miały na celu uwolnienie króla i królowej ze sromotnego więzienia. Usłyszała, że na czele tego grona stanął markiz de St. Cyr. Tu zastrzec należy, że nie miała wyobrażenia o ważności przestępstwa i o tym, że śmierć będzie wynikiem odkrycia takiego spisku.

Powtórzyła tę wiadomość jednemu z członków trybunału, a że wtedy denuncjacja jednej osoby wystarczała, zrobiono rewizję, przeszukano papiery markiza, znaleziono list cesarza. —

I do dwudziestu czterech godzin, markiz, synowie, żona, córki poszli pod gilotynę.

Że rozpaczała i żałowała lekkomyślnie wypowiedzianych słów, dodawać chyba zbyt późno.

Z ciężkim sercem opuszczała przystań, zbliżała się już do „Spoczynku rybaka“, widziała żółte płomyki świec i słyszała wesołe odgłosy, dochodzące z zajazdu. Wśród nich rozpoznawała gruby głos lorda Tony i wybuchy śmiechu swego męża, gdy w tym natknęła się na jakąś ciemną postać.

— Obywatelko St. Just...

Krzyknęła w pierwszej chwili przerażenia, ale oberża była tak blisko, a indywiduum tak spokojne, że zamiast uciekać, stanęła i spojrzała śmiało.

— Chauvelin! — zawołała radośnie.

— On sam w własnej osobie, obywatelko!

I mały, niepozorny człeczyna ucałował z galanterią jej rękę. Był to ten sam, który zaproponował Jellybandowi szklaniczkę. Nikły, z chytrą, lisią fizjonomią i wpadniętymi oczyma, wydawał się bliższym czterdziestki, a więc nie był już zbyt młodym.

— Chauvelin, jakżem rada, że pana widzę!

I była rzeczywiście uradowana. Otoczona sztywnymi i mało znanymi postaciami, ucieszyła się widokiem znajomego z dawnego jej salonu. — Ale powiedz pan najpierw, co pan tu porabia w Anglii?

— Chciałem zapytać panią o to samo, mylady? — uśmiech złośliwy błędził mu koło ust, ale tego nie zauważyła.

— Oh! Ja nudzę się, to wszysztko!

— Zadziwiasz mnie, obywatelko! — odrzekł, podnosząc szczyptę tabaki do nosa.

— Alboż ja wiem... Ta atmosfera mgły i purytanizmu angielskiego nie zgadza się widocznie z usposobieniem Małgorzaty St. Just...

— To dziwne, a ja myślałem, że dla pięknej kobiety, Anglia jest bardzo pociągającą.

— I ja tak myślałam, — powiedziała z westchnieniem — ale rzeczy przyjemne są tu zakazane, i w ten sposób piękne kobiety nie mają tu żadnych pokus, nie spotykają żadnego zachwyty...

— Nic dziwnego w takim razie, — odciął uprzejmie Chauvelin, — że najmańdrzejsza kobieta w Europie nudzi się tu.

— Musi być źle, — zaśmiała się swym srebrzystym śmiechem — kiedy tak się ucieszyłam pańskim widokiem.

— I to w rok po zawarciu małżeństwa z miłości... — powiedział Chauvelin złośliwie. — Więc ta idylla nie przeżyła... tygodni?

— Idylle nigdy nie trwają długo, przychodzą jak odra i prędko się leczą. Poradź mi, pan, coś raczej na nudy.

— Jeżeli sir Percy nie zaradzi, coś ja wymyślić potrafię?

— Zostawmy męża w spokoju, mój przyjacielu! — powiedziała sucho.

— Ah, droga pani! — I znów zażył tabaki, a oczy jego bystre śledziły i badały ją pilnie. — Miałbym przepis na nudy, ale coś kiedy...

— Kiedy co?...

— Kiedy jest sir Percy... A recepta, którą chciałem proponować pięknej pani, nosi nazwę prostacką. Nazywa się „pracą“.

Wśród tej rozmowy doszli do oberży i stanęli przed drzwiami. Chałas bawiących się i pijących w oberży przytłumiały zupełnie ich głosy. Mimo to Chauvelin obejrzał się dokoła, potem zbliżył się do Małgorzaty z twarzą poważną i zapytał:

— Czy chcesz oddać Francji małą przysługę, obywatelko?

— A, jak pan pyta poważnie! — odpowiedziała żartobliwie. — Albo ja wiem, czy zechcę? Musiałabym wiedzieć, jaką?

— Czy pani słyszała kiedy o Anyżu? — zapytał raptownie.

— Słyszeć o Anyżu? — zaśmiała się wesoło. — O niczym innym nie słyszę. Mamy kapelusze a la Anyż, konie anyżowe,

na kolacji u księcia Walii był bufet a la Anyż, a niedawno krawcowa zrobiła mi suknię niebieską, przybraną zielonym i bodaj czy nie powiedziała, że to jest moda a la Anyż.

Chauvelin dał jej mówić i żartować, jak gdyby nie słyszał, ale twarz miał poważną i myślał widocznie o czymś wielkiej wagi.

— Więc kiedy pani słyszała o tej tajemniczej osobie, — szeptał twardym i wyraźnym syczeniem — wiedz, że to największy wróg republiki, wróg Francji... wróg Armanda i jemu podobnie myślących.

— No, zapewne, że tak jest, Francja ma dużo wrogów obecnie! — odpowiedziała.

— Aleś ty jesteś córką Francji, obywatelko i powinnaś wspomóc ją w niebezpieczeństwie.

— Mój brat życie poświęca na usługi Francji, — odpowiedziała dumnie — a co do mnie, nic robić nie mogę... tu w Anglii.

— Przeciwnie, obywatelko. Tu w Anglii ty jedna pomoc nam możesz. Posłuchaj! — i lisia twarz jego przyoblekła się dumą i godnością. — Jestem mianowany tutaj jako pełnomocny przedstawiciel Francji, przedstawiłem się już Pittowi, uznany przez niego, jedno nam tylko zadanie: śledzić sprzysiężenie Anyża. A zwłaszcza pochwycić jej wodza. Jest to człowiek genialny po prostu, umie ukrywać się, nie możemy dojść, kto on jest, ale szkodzi naszej republice, wykradając rojalistów, już to z mieszań ich prywatnych, już to nawet z pod noża prawie gilotyny. Całe to sprzysiężenie więcej już jak stu wrogów republiki przeprawiło za granicę, a że rojaliści szukają opieki u obcych mocarstw, że chcą sprowadzić ich interwencję zbrojną, więc nie możemy pozwolić, ażeby się to niebezpieczeństwo dalej szerzyło. Trzeba łeb uciąć tej hydrze, przerwać im tę zabawę... Jesteś, obywatelko, wśród najwybitniejszego towarzystwa angielskiego, możesz wszystko słyszeć, o wszystkim wiedzieć. Otóż, o ile mnie mój instynkt nie zawodzi, ten Anglik jest jednym z tych najpierwszych elegantów towarzystwa. Znajdź go, obywatelko, odkryj go dla zbawienia Francji!

Namiętnej przemowy Chauvelina wysłuchiwała Małgorzata w głębokim milczeniu. Już się przyznała przecież, że w Lon-

dyale, w jej eleganckich kołach, imię tego bohatera jest na ustach każdego, ale nikt nie wie, kim on jest właściwie. Ta odwaga, połączona z miłością bliźnich, ta chęć niesienia ratunku bez szukania osobistej sławy, bo krył się pod pseudonimem, budziła w niej sympatię, cześć i uwielbienie. Nie lubiła francuskich arystokratów, tyle razy upokorzyli ją, podobnie jak teraz hrabina Tournay, ale czyż to racja do tak krwawych represji. To, co słyszy o krwawych wybrykach Dantona, Marata, Robespierrea, których ongiś pamiętała jako innych ludzi, przejmowało ją grozą — było to wprost oburzające... A czy jej brat, spokojny, łagodny republikanin nie padnie też ofiarą tego morderczego rozpasania?...

Dreszcz ją przeszedł na myśl, czego od niej żądają. Więc ma wynaleźć, wskazać młodzieńca, który w jakimś anielskim zapale ratuje, wywozi, chroni, naraża swe życie dla tylu, tylu istot, którym zarzucają przywiązanie do dynastii i za to śmiercią karzą. On się naraża na śmierć codziennie, nieznany nikomu, z poświęcenia dla ludzkości, a ona ma go wyszukać?

Łzy stanęły jej w oczach. Takiego człowieka, tej miary, tej siły, z taką aureolą bohaterstwa, jakże kochać by można. Ona potrafiłaby raczej połączyć swe życie z nim i dzielić takie poświęcenie, oddać życie swe na jego usługi, bo to wysniony jej bohater.

— Znajdź go dla Francji, obywatelko!

Na głos Chauvelina wzdrygnęła się. Oto tam z oberży dochodzi ją stuk kufli, pijackie głosy i idiotyczny śmiech człowieka, któremu wiarę dozgonną przysięgła.

— Powoli, obywatelu! — mówiła, patrząc z góry, pogardliwie na małą, nikłą figurkę. — Zapominasz zdaje się, że pomiędzy twoją propozycją a lady Blackeney stoi na sześć stóp wysoki sir Percy i co najmniej dwudziestu jego antenatów. A nawet, gdybyś wiedział, kto jest Anyż, cóż możecie zrobić, tutaj Anglikowi?

— Oh! Potrafilibyśmy! — śmiał się sucho Chauvelin. — Zapalał ochłodziła by gilotyna, a potem, dyplomatyczne przeprosiny rządu brytyjskiego, wynagrodzenie dla zasmuczonej rodziny...

— Wstrętna mi jest twoja propozycja, obywatelu. Pomimo wszystko jest to człowiek szlachetny i nie przyłożę ręki do takiej podłości!

To mówiąc, usunęła się od niego, jak od wstrętnego płazu.

— Wolisz pani zapewne, aby ciebie tutaj obrażali francuscy arystokraci?

Zdziwiła się, że człowiek ten już wie o tym, co spotkało ją niedawno tutaj w tej oberży i przeszedł ją dreszcz. Wyciągnęła z tego w jednej chwili sens właściwy... Człowiek ten przybył tu w celach szpiegowania ich, jej męża i jego przyjaciół, a więc i brata jej, Armanda... I ona miałaby pomagać mu w jego bezecnej robocie?...

— To do rzeczy nie należy! — zagryzła usta, nie chcąc dać poznać, że trafił ją dotkliwie. — Mogę się bronić, ale nawet dla Francji nie popełnię brudu i podłości. Szukaj pan innych sposobów.

— No, no, łaskawa pani. Dlaczego pani tak gorąco i stanowczo odmawia mi swej cennej współpracy? Czyżby przypomnienie z mojej strony tego, jak postąpiła wobec ciebie, obywatelko, zbiegła arystokratka francuska, tak panią oburzyło?... Będzie się pani mogła zemścić nad nią i to w niedługim czasie... A zemsta jest słodką rzeczą.

— Myli się pan, panie Chauvelin. Bynajmniej nie pragnę się mścić na nikim a przede wszystkim za nic nie mogłabym się mścić na kimś w ten sposób, aby przez zemstę moją miał ucierpieć człowiek, który uchodzi za bohatera i którego imię, czy przezwisko ludzie wymawiają z czcią!

— Ale to jest niebezpieczny wróg Francji!

— Nie jestem co do tego zupełnie zgodna z panem, człowiek ten zupełnie bezinteresownie ratuje ludzi, obcych mu językiem i narodowością od strasznej i hańbiącej śmierci... Czyż to, że kilku arystokratów, w liczbie ich kobiety i dzieci unikną noża gilotyny, może być naprawdę wielkim niebezpieczeństwem dla Francji?... Nie, proszę nie liczyć na moją pomoc!

— Mam nadzieję, że to nie ostatnie słowo twoje, pan! Spotkamy się jeszcze w Londynie. Przynajmniej spodziewam się tego! — dorzucił Chauvelin zjadliwie, widząc, że już sto-

w drzwiach otwartych, strojna, wspaniała w blasku światła oberży.

— Możemy się zobaczyć, — rzuciła mu przez ramię — ale to ostatnie moje słowo.

Znikła już za drzwiami, a Chauvelin stał, ani jej odmową zgnębiony, ani ostrym słowem urażony. Zażył tabaki (była to moda, której Chauvelin namiętnie ulegał) i patrzył przed siebie, zadowolony, pewny siebie, a uśmieszek złośliwy ślizgał się po chytej jego twarzy.

ROZDZIAŁ IX

NAPAD TAJEMNICZY.

Gwiazdzistą, wilgotną nocą biegła czwórka rasowych koni drogą do Londynu. Na koźle breku powoził sir Percy, obok w kosztownym futrze siedziała Małgorzata. Przepadała za taką szybką, zawrotną jazdą, patrzyła na gwiazdy, w milczeniu podziwiała niezwykłą zręczność w powożeniu tego powolnego, bezmyślnego męża, który przez przeciąg czterech godzin za ledwie czasem wymówił jakieś słowo.

W gospodzie sprzątał i gasił światła pan Jellyband. Goście jego już spali w małych pokoikach na górze, z wyjątkiem lordów Tony i Andrewa, którzy siedzieli jeszcze w gospodzie, jakby na coś oczekując.

— Przynieś nam butelkę wina, Jelly! — zaproponował sir Andrew.

— Zaraz!

Uprzejmy gospodarz zniknął, ażeby za chwilę ukazać się z winem i czarkami.

— Czy służba już śpi? — zapytał lord Tony.

— Wszyscy, z wyjątkiem chłopaka na zawołanie, ale ten też już tu chrapie w najlepsze.

— Nikt nam zatem nie przeszkodzi? — pytał dalej lord Tony. — Możemy mówić swobodnie? Zgaś więc lampę, gospodarzu, wystarczy nam światło ognia. Dobranoc, panie Jellyband.

— Dobranoc panom!

Gospodarz poszedł ciężkim krokiem ku schodom, a dwaj młodzi ludzie siedzieli w milczeniu.

— Więc wszystko znów dobrze poszło. Tfoulkes? — spytał w końcu lord Antony.

— Tak! — odpowiedział zamyślony sir Andrew. — Wszystko poszło dobrze.

— No, pytać nie potrzebuję, czy podróż była przyjemna, — mówił jowialnie sir Antony. — Daj ci Boże, Andrew, to miła, słodka dziewczyna, choć Francuzka. Piję na jej zdrowie i na powodzenie twoich starań i zabiegów.

— Teraz na ciebie kolej, Tony! — mówił sir Andrew. — Pojedziecie pewnie ty i Hastings; życzę wam równie miłego zadania, jak moje. Bo co prawda, nie masz pojęcia...

— Nie, nie mam pojęcia, ale wierzę ci na słowo! — przerwał sir Tony. — A teraz pomówmy o interesach.

Przysunęli krzesła i zaczęli mówić szeptem.

— Widziałem Anyżę przez parę chwil w Calais! — mówił sir Andrew. — Dwa dni temu. Towarzyszył swojej partii przez cały czas z Paryża, przebrany, nie uwierzysz, za starą przekupkę; powoził krytym wózkiem niby pełnym kapusty i rzepy. Oni nawet nie przypuszczali, kto ich wiezie. Jechał prosto pomiędzy żołnierzy, w same tłumy, w chustce na głowie i spodnicy, wrzeszczał „na latarnię arystokratów“, głośniejszy niż tamci. Doprawdy, to cudowne, ten człowiek ma odwagę i szczęście... Ale on ciebie i Hastingsa wzywa do Calais na drugiego, to jest na środek.

— Tak!

— To trudna sprawa. Hrabiego ciężko będzie wydobyć, a i St. Just ma się do was przyłączyć; tam we Francji nikt go o to nie posadza. Oh! Gorąco wam będzie. Może on jeszcze mnie wezwie.

— Czy masz jakie wyraźne rozkazy dla mnie?

— Tak, nawet bardzo szczegółowe. Zdaje się, że rząd republikański przysłał tu swego pełnomocnego przedstawiciela,

nazwiskiem Chauvelin z całą bandą tajnych szpiegów i że mają oni za zadanie dowiedzieć się, kto stoi na czele sprzysiężenia. Wobec tego Anyż poleca nam wszystkim, abyśmy o naszych sprawach i interesach sprzysiężenia, rozmawiali tylko w publicznych miejscach, a on sam nas wezwie, gdy będzie chciał z nami mówić.

Sir Andrew wyciągnął z kieszeni papier, a sir Antony notes i pochyłili się, ażeby nad ogniem odczytać słowa i rozkazy ubóstwianego naczelnika.

— Masz przeczytać te instrukcje i zapamiętać, a papier zniszczyć! — mówił sir Andrew, chowając do kieszeni pugilares. Nie zauważył, że z kieszeni wypadła mu malutka karteczka. Sir Antony podniósł ją.

— A cóż to wypadło ci z kieszeni? — zapytał. — Czy miałeś tę kartkę z papierami?

— Nie wiem, nie mogę zrozumieć, skąd się tu dostała. To pismo naczelnika. Dziwnie!

Nachylili się obydwaj, by tych parę słów w pośpiechu narysowanych odczytać. Nie spostrzegli, że postać jakaś na czworaku sunie się powoli pod ścianą. Równocześnie usłyszeli szmer w sieni. Lord Antony poszedł do drzwi. W chwili, gdy otwierał je, otrzymał silne uderzenie pięścią między oczy i upadł na wznak. Pełzająca postać w tej samej chwili rzuciła się na lorda Andrewa i nieprzygotowanego do napaści rzuciła o ziemię.

Wszystko razem trwało to chwilę; spętani z ustami zakneblowanymi nie mieli czasu ani walczyć, ani zawołać o pomoc. Na środku izby stał człowiek w masce, który widocznie rozkazywał tamtym.

— Spętani dobrze? — zapytał.

— Tak jest!

— Dobrze! Przeszukajcie kieszenie, a wszystkie papiery mnie oddać!

Nadsłuchiwali chwilę, a widząc, że się w oberży nikt nie ruszył, zamaskowany człowiek otworzył drzwi i wydał rozkaz.

Czterech silnych drabów pochwyciło i uniosło lorda Anto-
ny i lorda Andrewa spętanych w ciemną przestrzeń.

Zamaskowany człowiek zacierał ręce i przeglądał papiery.

— Nie zła zdobycz! — pomrukiwał. — A to najlepsze! Więc
Armand okazał się w końcu zdrajcą! Teraz piękna pani — do-
dał z zaciśniętymi zębami — teraz jestem pewien, że będziesz
mi pomagała szukać Anyżę.

ROZDZIAŁ X.

W ŁOŻY.

Było to uroczyste przedstawienie w Covent Garden, pierwsza opera tej jesieni w pamiętnym roku 1792.

Doborowa publiczność wypełniła po brzegi wspaniały teatr. Kogo nie nęciła opera „Orfeusz“ Glücka, ten szedł patrzeć na piękne stroje i jeszcze piękniejsze kobiety.

W małych łóżach widziało się wiele znanych osobistości. Siedział tam Pitt, szukający rozrywki po ciężkich trudach swego zawodu. A wesoły grubasek, książę Walii, trochę pospolity z pozoru, przechodził z łóża do łóża, ażeby każdego zaszczyścić kwadranssem rozmowy.

Lord Grenville, sekretarz stanu i minister spraw zagranicznych, usadowił w swej łóży gościa, którego honorował, choć mało z nim rozmawiał. Był to mężczyzna średniego wieku, czarno ubrany, bez pudru na czarnych włosach. Słuchał uważnie muzyki i patrzył po łóżach krytycznie. Miejscami poznać można było obce twarze wśród tutejszych. Byli to przeważnie emigranci; znać na nich smutek i przygnębienie. Zwłaszcza kobiety zdradzały się obojętnością dla przedstawienia, że serca ich drżą obawą o tych, którzy tam, w ogniu rewolucji zostali.

Hrabina Tournay de la Basserive siedziała obok lady Portalles. Czarno ubrana, wyglądała stroskana i smutna. Za nią — syn, licznym zebraniem onieśmielony, i córka, która z dziecięcą ciekawością przyglądała się wszystkim twarzom i usiadła zniechęcona, nie znalazłszy tej, którą zobaczyć pragnęła.

— Ah! Lordzie Grenville, jakże w porę pan przychodzi! — kręknęła lady Portalles do wchodzącego dyplomaty. — Powiedzi

nam, jakie są najświeższe nowiny z Francji; o! hrabina de la Basserive umiera z niepokoju o pozostawionego tam męża.

— Jak najgorsze! — odpowiedział po przywitaniu. — Paryż pływa we krwi. Gilotyna ścina po sto głów dziennie.

— Oh Boże! — jęczała hrabina. — Jakież to straszne. Pomyśl, panie, ja tu siedzę bezpieczna w teatrze, a on tam...

— No to i cóż! — zawołała lady Portalles. — Gdybyś siedziała w klasztorze, to i tak nic w jego położeniu nie zmienisz a ty i dzieci potrzebujecie rozrywki.

— Zresztą — dodał lord Grenville — słyszałem, że przysiężenie Anyża przysięgło pani, że jej męża stamtąd wydostanie. A co oni obiecują, tego dokonają. Żebym tak był o kilka lat młodszym... — dodał z westchnieniem.

— Ehl Człowieku, dość jesteś młodym, — mówiła dalej szorstko lady Portalles — ażeby się odwrócić plecami do tego tam francuskiego straszdyła, które usadowiłeś na honorowym miejscu.

— Gdybym tylko mógł, ale w służbie nie wolno mi kierować się uprzedzeniem. Jest to agent pełnomocny rządu francuskiego.

— Bah! Nie nazwiesz pan przecie rządem tej gromady rozbójników.

— Nie jest wskazane — powiedział ostrożnie dyplomata — zrywać stosunki między Anglią a Francją.

— Pluć na takie stosunki! — Lady Portalles była żywa i gwałtowna, mimo złotego serca. — Ładne stosunki ze szpiegami! Bo to jest szpieg, ja ręczę. Jemu dyplomatyczne stosunki! Będzie szpiegował rojalistów, albo i takiego Anyża, to, to on potrafi.

— Jestem pewną, — mówiła hrabina, wydymając usta — że jeżeli ten pan Chauvelin zechce nas śledzić, znajdzie wierną współpraczkę w lady Blackeney.

— A niechże cię! — irytowała się lady Portalles. — Co za kłopot z tą kobietą! Lordzie Grenville! Jesteś wymowny, wy-

Humacz-że jej, powiedz, że w Anglii nie można tak pogardliwie o nikim się wyrażać. To czyste szaleństwo! Czy lady Blackeney ma sympatie dla tych prostaków we Francji, czy ich nie ma, czy oskarżyła St. Cyrów, czy ich nie oskarżyła, to rzeczy nie zmienia. Ona ma tu w Anglii stanowisko towarzyskie, jej mąż jest bogatszy od wszystkich, idzie ręką w rękę z następcą tronu, i jej nie zaszkodzi takie gadanie, tylko panią niepotrzebnie skompromituje! Czyż nie mam racji, mylordzie?

Ale lord Grenville nie miał już czasu na wyrażenie swego zdania, bo kurtynę podnieśli, więc pożegnał się pośpiesznie, ażeby wracać do łoży, w której Chauvelin tronął samotnie.

Siedział właśnie wpatrzony w łożę naprzeciw, do której przed chwilą weszła lady Małgorzata z mężem. Jak zawsze strojna, w modnej z krótkim stanem sukni, jak gdyby złotem przerabianej; szyja, gors i włosy obsypane były diamentami. Wszedłszy, pochyliła się przez balustradę i kłaniała, witając znajomych. Z łoży królewskiej przesłano jej też uprzejmy, ułkon.

Lady Blackeney promieniała dziś. Przepadała za muzyką, śmiały się jej niebieskie oczy, drżały radośnie usta. Poza tem miała list od brata. „Sen“ dowiózł go szczęśliwie, obiecywał przezorność, a może i przyjazd do Anglii. Mogła się cieszyć i choć na chwilę zapomnieć o strapieniu.

Sir Percy po krótkim pobycie w łoży ustąpił miejsca jego wysokości księciu Walii, a sam poszedł odwiedzać znajomych. Małgorzata rada była temu, chciała być samą i użyć, nasłuchać się muzyki. Odprawiała też po kolei tych panów z pomiędzy złotej młodzieży, którzy za zaszczyt uważali sobie, że mogą jej asystować. Pozostała samą.

Ciche pukanie wyrwało ją z błogiego stanu.

— Proszę! — odpowiedziała nerwowo, ale Chauvelin nie czekał na pozwolenie.

Stał już za jej krzesłem.

— Słówek do ciebie, obywatelko! — powiedział cicho.

— Ah, panie, jakżeś mnie przestraszył! Ale ja chciałam słuchać Glüka, nie mam ochoty rozmawiać.

— Cóż robić? Pani jest zawsze tak otoczona, ma pani cały dwór koło siebie. Musiałem skorzystać z jedynej sposobności, jaka mi się nadarzyła.

I bez ceremonii ustawił sobie krzesło za nią w kącie, ażeby rozmawiać, nie będąc widzianym.

— Naprawdę, niech się pan o inną sposobność postara, po operze idę na bal lorda Grenvilla, pan też zapewne... zresztą... ofiaruję panu pięć minut posłuchania.

— Trzy minuty w samotnej łoży wystarczy najzupełniej! — mówił spokojnie, zażywając tabakę. — Trzeba koniecznie byś wiedziała, obywatelko St. Just...

— Czy to jest groźba, obywatelu?

Strach zmroził jej krew w żyłach, zadrżała jakby przed jakimś nieznanym niebezpieczeństwem.

— Nie, piękna pani, — odrzekł uprzejmie — to tylko strzała w przestrzeń puszczone.

— Cóż znowu? — odrzekła, zmuszając się do wesołości, pomimo że w rozszerzonych jej żrenicach widać było obawę. — Wyobraźnia płata panu figle, słuchajmy raczej Glücka.

Milczał chwilę z uczuciem kota, czatującego na mysz, rozkoszował się przykrością, którą jej za chwilę wyrządzi.

— Brat pani, St. Just jest w niebezpieczeństwie! — rozpoczął powoli.

Całą siłą woli zapanowała nad wyrazem swej twarzy. Selina Storace, sławna śpiewaczka, skończyła właśnie arię. Grzmot okłasków sprawił dłuższą pauzę w ich rozmowie.

— A więc? — zapytała po chwili niezbyt uprzejmie.

— Więc nic, obywatelko! — odpowiedział obojętnie.

— Mówiłeś o moim bracie, obywatelu?

— Muszę wpierw mówić o czym innym. Czy mogę?

Pytanie to było zbyteczne, czuł, że choć siedziała odwrócona, słuchała go w najwyższym napięciu nerwów.

— Od czasu, kiedy prosiłem panią o pomoc, raczej o przysługę dla Francji, dużo rzeczy się zmieniło. Mianowicie wpadły mi w ręce papiery, które rzucają jasne światło na nowe spiski w celu ratowania zdrajcy Tournay i na samą osobistość Anyża. Mam w ręku sieć całą intrygi, idzie o to, żeby ją zarzucić i w tym pomocną mi będzie pani.

— Ależ człowieku! Już raz powiedziałam, że o Anyżu słyszeć nie mam ochoty! — mówiła żartobliwie i trochę zniecierpliwiona. — Gdybyś pan mówił o bracie moim...

— Trochę cierpliwości. W „Spoczynku rybaka“ nocowało dwóch panów, z których jeden towarzyszył hrabinie Tournay w podróży z Francji; udało się moim szpiegom pochwycić ich papiery.

Serce Małgorzaty przestało bić. Czyżby Armand był na tyle nieostrożnym... Ale nie chciała zdradzać swego przerażenia i zawołała zdziwiona:

— Ah to coś ciekawego! Więc tu w Anglii wykradacie prywatną korespondencję? Ależ to gwałt i rozbój. A gdyby tych szpiegów złapano?

— Byliby poszli do więzienia albo na galery bez słowa skargi. To są dzieci Francji, obywatelko, wiedzą, co winni swej ojczyźnie!

— No i cóż te papiery? — zapytała obojętnie.

— Niestety! Wyjaśniają pojedyncze fakty. Wymieniają nazwiska. Ale identyczności Anyża dojść z nich niepodobna.

— I dlatego nie dajesz mi pan wysłuchać tej pięknej arii! Ehl! Gdyby nie to, żeś pan wspomniał o bracie...

— Dochodzę do niego. Otóż w tych korespondencjach był także list brata pani, St. Justa, pisany do lorda Tfoulkes...

— No? Więc cóż?

— List który wskazuje wyraźnie, że nie tylko był w poro-

zumieniu z wrogami Francji, ale że, jeśli nie był członkiem, to pomagał sprzysiężeniu Anyża.

Grom uderzył nareszcie.

Tak długo oczekiwała go Małgorzata, że trzeba było całego wysiłku woli, aby wrażenia, jakiego doznała, nie zdradzić. Wątpliwości żadnej nie miała, że list taki istniał rzeczywiście. Gdyby go wydostać?

Zaśmiała się wesoło.

— Ależ panie — mówiła, zwracając się twarzą wprost do niego — czyż nie mówiłam, że pan ma bujną imaginację? Armand w sprzysiężeniu Anyża? Armand wpomaga szlachtę francuską? On, który pogardza arystokratami... Wyobrażnia unosi pana...

— Pozwól pani, — powiedział Chauvelin z niewzruszonym spokojem — muszę zaznaczyć, że brat pani jest skompromitowany bez nadziei jakiegokolwiek usprawiedliwienia.

Małgorzata starała się zebrać myśli.

Siedziała prosto, bez ruchu, myślała, co mogłaby jeszcze zrobić, ażeby ratować brata. Storace skończyła znów swoją arię, rozległy się okrzyki zachwytu i artystka składała ukłony rozentuzjasmowanej publiczności.

— Chauvelin! — rozpoczęła Małgorzata spokojnie, bez cienia dotychczasowego, wyzywającego tonu. — Chauvelin, mój przyjacielu, spróbujmy porozumieć się. Wydaje mi się chwila-mi, że mój umysł zardzewiał w tym wilgotnym klimacie tutaj-szym. Powiedz mi pan, chcesz dojść, kto jest Anyż, czy tak?

— Jest to największy wróg Francji, obywatelko. Tym niebezpieczniejszy, że pracuje tajemniczo.

— Tym szlachetniejszy, sędzę. I chcesz pan, abym się podjęła szpiegostwa, a w zamian obiecujesz ratować brata. Czy tak?

— Dlaczego wyrażać się tak dosadnie. Żądam przysługi, która nie plami wiernej republikanki, a za nią obiecuję uwolnić brata pani;

— Więc cóż właściwie mam robić?

— Czuwaj dziś w nocy, obywatelko St. Just! Patrz!

I pokazał jej kartkę papieru, tę samą, którą sir Andrew upuścił woberży. Małgorzata zobaczyła parę linii, zapisanych zmienionym pismem i przeczytała półgłosem: „Pamiętajcie spotykać się tylko w razie koniecznej potrzeby. Macie wskazówki na 2-go. Jeżeli chcecie ze mną mówić, będę na balu G.“. — Cóż to znaczy? — zapytała.

— Popatrz pani na znaczek na dole, a zrozumiesz.

— Anyż będzie na balu u Grenvilla? — mówiła zdziwiona Małgorzata. — Czy to ma to znaczyć?

— Ja tak tę kartkę pojmuję, obywatelko! — tłumaczył jej Chauvelin. — Ci dwaj panowie, których moi spiedzy przeszkali, zostali zanieśieni do domku, najętego przeze mnie w Dowrze umyślnie w podobnych celach. Do dziś siedzieli zamknięci. O dwunastej kazałem drzwi zostawić otworem i dwa konie osiodłane postawić przed domem. Wątpić nie można, że wydostawszy się, przybędą do Londynu i pójdą na bal, bo zechcą porozumieć się z swoim wodzem. To całkiem proste i jasne...

— Tak? Dla pana to jasne! — powiedziała, próbując żartować. — Ale dla tego, komu nóż do gardła przykładają... nie bardzo.

— To nie nóż, obywatelko, to wybawienie brata z niebezpieczeństwa, na które dobrowolnie się narazi.

— Brata! — i oczy Małgorzaty zasły łzami, wszak to jedyna istota, która ją kocha. — Czegóż żądasz ode mnie, obywatelu Chauvelin? — rozpacz ścisła jej gardło. — Co ja mogę zrobić?

— Właśnie w pani położeniu jest to łatwe! — mówił Chauvelin, nie zważając wcale na jej rozpacz. — Jako lady Blackeney nikt cię nie podejrzewa, możesz śledzić i pilnować, kogo zechcesz. Uważaj dobrze, z kim będą rozmawiać lord Dewhurst i lord Tfoulkes a łatwo będzie wtedy poznać, kto jest właściwie tym Anyżem. Skoro raz ta zagadka będzie wyjaśniona, przysięgam, na miłość moją dla Francji, że brat pani będzie ocalony

Małgorzata milczała. Chauvelin nie tracił słów i przysiąg na próżno. Armand prawdopodobnie jest już na liście „podejrzanych“, a takim już nie wolno opuszczać Francji. Czuła, że ją krępują jakieś straszne więzy, że wymknąć, uchylić się już nie może.

Jakże boi się i nienawidzi tego człowieka. Ale nie chciała dać za wygraną, wyciągnęła do niego rękę.

— Jeżeli panu pomogę w tej sprawie, — zapytała uprzejmie — czy oddasz mi list St. Justa?

— Jak wykonasz dzisiaj to, o co proszę. — mówił z chytrem uśmieszkiem — to oddam list... jutro.

— Nie ufasz mi pan?

— Absolutnie ufam, droga pani, ale życie St. Justa jest już stracone... Ty jedna wskrzesić go możesz.

— A jeżeli to będzie ponad moje siły, — błagała — jeżeli nie potrafię, choćbym chciała...

— To byłoby smutne rzeczywiście — odrzekł spokojnie — dla pani... i dla St. Justa.

Małgorzata drżała. Wiedziała napewno, że ten człowiek nie będzie miał dla niej współczucia ani litości.

Rozdzierające dźwięki muzyki dochodziły do niej jakby z innego jakiegoś świata. Doznała wrażenia, jak gdyby raptem płaszcz jakiś lodowy okrył ją całą. Bała się o Armanda, o tego kochanego, jedyne go opiekuna jej sieroczej młodości.

Czuła pustkę wkoło siebie, nie ma nikogo, komu by mogła się zwierzyć, poradzić. Wprawdzie sir Percy kochał ją niegdyś, jest jej mężem, gdybyż mogła poradzić się jego? Ciężki miał umysł, leniwy z natury, to prawda, ale może wspólnie wymyśliby jakiś sposób na tego zaciętego dyplomatę. Tak! Lubił zawsze St. Justa i cenił wysoko, on jej pomoże. Kto wie, może potrafiliby i tego Anyża ocalić. Tak, wyteży swój rozum, on siłę woli i energię, ale jak do tego zwierzienia przystąpić?...

Lekkie pukanie przerwało tok jej myśli. To wielki, zaspany, zadowolony z siebie sir Percy. Wszedł z tym uśmiechem zażenowanym i niemądrym, który ją tak drażnił zawsze.

— Ehr... karetka czeka na dole... najdroższa! — mówił zie-

wał. — Przypuszczam, że zechcesz pojechać na ten przeklęty bal... Oh!... przepraszam, pan Chauvelin... Nie zauważyłem. Wyciągnął dwa białe palce do powstającego Chauvelina.

— Huschl Schl Schl — odezwały się w teatrze głosy, wzywające do milczenia.

— A to bezczelność! — zauważył sir Percy z dobrodusznym uśmiechem.

Małgorzata westchnęła; znikła ostatnia nadzieja ratunku.

— Jestem gotowa! — mówiła, otulając się płaszczem. — Do widzenia na balu, panie Chauvelin.

Dyplomata kłaniał się nisko. W oczach lady Blackeney wyczytał widocznie jakieś zapewnienie, gdyż stał długo u wyjścia, zażywał tabakę i ręce kościaste zacierał z radości.

ROZDZIAŁ XL

BAL U LORDA GRENVILLE.

Wprawdzie sezon jesienny zaledwie się rozpoczynał, pomimo to jednak kto tylko był w Londynie, śpieszył do ministerstwa spraw zagranicznych na bal sekretarza lorda Grenville. Sam gospodarz po wysłuchaniu dwóch aktów opery pospieszył przygotować się na przyjęcie gości. Król i książę Walii zapowiedzieli swoją obecność. O dziesiątej piękne, kwiatami przybrane salony, pełne były gwaru i wesołej rozmowy, a tony muzyki dochodziły łagodne i ciche z sali, do tańców przeznaczonej.

W holu pałacu stanął minister. Przybywający witali go przesadnymi ukłonami, jak było wtedy w zwyczaju, zanim do innych sal przeszli. Blisko ministra, o niską konsolę wsparty, stał Chauvelin. Mimo, że ciągle obserwował wchodzących, dotąd wśród świetnych tłumów nie zauważył ani lorda ani lady Blackeney. Co prawda, nie miał nic innego do roboty pełnomocny agent rządu rewolucyjnego, rządu Terroru i Anarchii; nie mógł cieszyć się wielką w Anglii symptią, stał też samotny.

Jako urzędnika powitano go uprzejmie; Pitt podał mu rękę, lord Grenville rozmawiał z nim. Ale towarzystwo nie zwracało na niego uwagi; panie odwracały się od niego, mężczyźni odmawiali podania mu ręki. Wszystkie te objawy przyjmował obojętnie. Entuzjasta Rewolucji, wróg różnicy klas, gorzał tylko miłością dla sprawy rewolucji. Te uczucia sprawiały, że wszystkie „niegrzeczności“, które go tu spotykały, przyjmował jako nieodłączne „wydarzenia“ w swej politycznej karierze.

Jedną miał w duszy nienawiść, a to dla francuskiej arystokracji. Był głównym podżegaczem Terroru. Na francuskich emigrantów w Anglii spoglądał jak na łupy, zrabowane gilotynie. Wiedział, że raz przekroczywszy granicę Francji, w Anglii, czy w Belgii lub Holandii, poruszają, intrygują, by jakieś obce mocarstwo skłonić do niesienia pomocy biednemu, więzionemu królowi.

I nie dziwnego, że przy takim zapatrywaniu, cały wysiłek swój i sobie oddanych agentów, skierował do wyśledzenia i przyłapania członków sprzysiężenia Anyża. Co więcej, kolegom swoim w Paryżu złożył przysięgę, że nie spocznie, póki wodza tego sprzysiężenia nie będzie mógł oddać gilotynie.

Uczynił się hałas na schodach, rozmowy ustały, marszałek anonsował głośno: — Jego Królewska Wysokość, Książę Walli ze świtą, sir Percy Blackeney, lady Blackeney!

Lord Grenville podszedł szybko, aby powitać wysokiego gościa. Książę w przepysznym dworskim stroju pomarańczowo-różowym złotem haftowanym wszedł, podając rękę Małgorzacie Blackeney; po jego lewej kroczył sir Percy w blado-żółtym z błyszczącego atlasu ubraniu, skrojonym według najnowszej mody „Incroyable“ (nie do uwierzenia), włosy jasne bez pudru czyniły go młodszym jeszcze. Żabot z bezcennej koronki i płaski trójkątny kapelusz pod pachą dopełniały stroju.

Po zwykłych przywitaniach i banalnej rozmowie, lord Grenville zapytał:

— Czy pozwoli Wasza Wysokość przedstawić sobie pana Chauvelin, pełnomocnego agenta rządu francuskiego?

Chauvelin postąpił naprzód i skłonił się nisko, książę kiwnął głową.

— Paniel — powiedział książę zimno. — Będziemy się starali zapomnieć o rządzie, który pana tu przysłał, a uważać pana raczej za gościa, prywatnie tu będącego. Jako takiego, witamy pana.

— Najjaśniejszy paniel — bąknął Chauvelin. — Panil — dodał, kłaniając się nisko Małgorzacie.

— Ach! To mój mały Chauvelin! — rzekła wesoło, wyciągając drobną rączkę. — Dobrymi znajomymi jesteśmy, Wasza Królewska Wysokości.

— Ach, w takim razie — powiedział książę łaskawie — podwójnie jesteśmy radzi.

— Jeszcze ktoś pragnie być przedstawiony. — mówił lord Grenville. — Pani hrabina Tournay de Basserive z rodziną, przybyła niedawno z Francji.

— To prawdziwa przyjemność! Mój ojciec zawsze z radością wita tych, którzy z tamtego brzegu przybywają.

— Jego Królewska Wysokość bardzo jest łaskawa! — powiedziała hrabina z godnością. — A to moja córka, Zuzanna.

— Zachwycająca! — mówił książę. — A teraz pozwól hrabino, że cię przedstawię lady Blackeney, która nas zaszczyca swoją przyjaźnią. Zaznajomicie się łatwo, a nasi przyjaciele będą i waszymi.

Śmiały się oczy Małgorzaty na myśl, że hrabinie przyda się ta nauczka. Obie panie składały sobie ukłony; hrabina nie dała po sobie poznać zmieszania.

— Jego Wysokość jest bardzo uprzejma, — powiedziała Małgorzata — ale ja i bez pośrednictwa pamiętam... uprzejmość pani przy naszym ostatnim spotkaniu.

— My, biedni wygnańcy, musimy być wdzięczni Anglii! — powiedziała z ukłonem hrabina.

— Znałem pańskiego ojca — zwrócił się książę do młodego wicehrabiego — z czasów, gdy był on ambasadorem w Londynie.

— Małym chłopcem byłem podówczas, — odparł wicehrabia — a szczęście oglądania Waszej Wysokości zawdzięczam naszemu dobroczyńcy Anyżowi.

— Cicho! — szepnął książę, wskazując na Chauvelina, który przysłuchiwał się, ubawiony wymianą grzeczności dwóch pań.

— Jego Królewska Wysokość pozwoli, — wmieszał się Chauvelin, jak gdyby ostatnie słowo księcia do niego było

zwrocone, — ażeby ten młodzieniec objawił swą wdzięczność dla człowieka, którego imię i we Francji dobrze jest znane.

— Doprawdy? — tu książę bystro spojrział na agenta. — W takim razie wiecie więcej, niż my tutaj, a jeżeli tak, to powiedzcież tym wszystkim ciekawym paniom co prędzej. One podziwiają Anyżę, choć nie wiedzą nawet, jak wygląda. Stಾನiesz się pan ich ulubieńcem.

— Proszę mi wierzyć, Wasza Królewska Wysokości, że nader chętnie podzieliłbym się z paniami wszelkimi wiadomościami, jakie bym miał o tym dziwnym człowieku, ukrywającym się pod symbolem skromnego kwiatka łącznego. Niestety, wiem o nim mniej, niż wszyscy tu obecni napewno...

— To dobrze się składa, — odpowiedział szczerze następca tronu z odcieniem lekkiej ironii w głosie — bo nie wątpię, że gdybyś pan posiadał zbyt wiele wiadomości o tym człowieku, nie wyszłoby mu to na dobre... Zbyt jest on już podobno popularny we Francji...

— Mówią we Francji, — rzekł znacząco Chauvelin — że gdyby Jego Wysokość chciała, mogłaby nas objaśnić...

— Niel Człowieku! Dziwną mi czynisz propozycję. Nikt go nie zdradzi, bo wszyscy go czczą. Patrz, piękne panie rumienia się, gdy kto imię jego wspomni, a ja sam dumny jestem, że ten dzielny, odważny rycerz, jest synem Anglii!

— My, kobiety, ubóstwiamy go! — mówiła Małgorzata wyzywająco patrząc na Chauvelina. — Nosimy jego barwy, jak za dawnych czasów, lękamy się, gdy jest w niebezpieczeństwie, radujemy, gdy mu się powiedzie!

— A my, biedni małżonkowie — odezwał się gruby, śmiejący się głos — musimy patrzeć spokojnie, jak się nasze panie kochają w jakimś fantastycznym rycerzu.

Sir Percy rozśmieszył wszystkich swą desperacją. Najgłośniej śmiał się książę, rad, że jego wspańiały ulubieniec przerwał naprężoną sytuację.

Nie śmiał się tylko pełnomocny agent rządu francuskiego,

Chauvelin, który złym okiem błysnął w kierunku błaznującego lorda i otwierał już usta do jakiegoś złośliwego przycinku pod jego adresem, lecz nie zdążył i pochylił się w ukłonie, widząc, że książę Walli rusza w kierunku sal a za nim cała jego świta.

Skierowali się do dalszych salonów, gdzie gwar i wesołość wzywały

ROZDZIAŁ XII.

SKRAWEK PAPIERU.

Otoczona i podziwiana, śmiejąca się i wesoła przeżywała Małgorzata uczucia człowieka, skazanego na śmierć, który spędza ostatnie swe godziny. Nadzieja, że zwierzy się mężowi i on jej pomoże wydobyć się z pułapki, rozwiąła się bezpownie z chwilą, gdy zostali sami. Czuła niechęć i pogardę dla tego idiotycznego eleganta. Oto stoi teraz tam, wśród gro-
na jemu podobnych błaznów i recytuje wierszyk, który ułożył na cześć Anyż, zanim związał krawat, jak zapewniał

*Szukajmy tu, szukajmy tam,
Francuzi szukajcie wszędzie,
Może on w niebie, lub u piekła bram
Któż potępieńca zdobędzie.*

Wierszyk obiegił cały salon, wszyscy byli zachwyceni. Księżę Walii zaręczał, że życie bez Blackeneya straciłoby dla niego wszelki urok. Zasiedli razem do gry dość wysokiej, a ona pozostała w salonie, skazana na komplementy i umizgi swych adoratorów. Nie było rady, śmiała się, żartowała jak najweselej. Podniecone nerwy czyniły ją jeszcze piękniejszą. Myśl tymczasem wracała do Armanda, do tego ukochanego brata, którego życie teraz od niej zależało.

I gdzież jest ten tajemniczy Anyż? Patrzyła na kwiat młodzieży angielskiej, na te normandzkie twarze o szerokiej i silnej budowie, na tych ludzi o jasnych włosach i cerze, na Celtów muskularnych. Wszystkie te typy składają się na śmietankę towarzystwa angielskiego, ale gdzież ten bohater?

Jak go odszukać? Zauważyła, że lord Tony i lord Andrew mieli twarze zmęczone i zaniepokojone. Poza tym, w stroju ich i zachowaniu nie zdradzało, że przebyli kilkunastego-dzinne więzienie.

Sir Andrew rozmawiał długo i z ożywieniem z Zuzanną, a gdy surowa hrabina wezwała córkę, stanął w drzwiach salonu. Wśród jednej z figur tańca spostrzegła, że lord Hastings, przechodząc koło lorda Andrew, wsunął mu coś w rękę. Oto chwila, jedyna sposobność; przecież chce ratować Armandal! Z miłym uśmiechem wytłumaczyła swemu danserowi, że więcej tańczyć nie będzie, gdyż czuje się zmęczoną i powoli przesuwawała się pomiędzy tańczącymi parami. Przymrużyła oczy i dała się nieść fali ludzkiej. Oto los fatalny prowadzi ją ku drzwiom, a ona w śmiertelnej rozterce, daje się prowadzić własnemu instynktowi. Podniosła oczy, już go przy drzwiach nie było. Stał w drugim pokoju i czytał kartkę jakaś przy blasku świec ogromnego kandelabra.

Wzdrygnął się, gdy usłyszał jęk

— Co się pani stało? Czy jesteś chorą, lady Blackeney?

— Ohi Nie, słabo mi, daj mi pan krzesło prędko. Tam w sali strasznie gorąco, to przejdzie.

— Obawiałem się, że pani zemdleje.

— Nie zważaj na mnie, milordzie. Tu jest o wiele chłodniej, za chwilę przyjdę do siebie.

Siedziała chwilę z zamkniętymi oczami. Czy przeczuła, że lord Tfoulkes podniósł papier do świecy?

— Ach! Jakiż pan troskliwy! Palący się papier, to rzeczywiście najlepszy środek na mdłości! — mówiła, chwytając palący się skrawek i przytykając go do nosa. — Ciekawam, skąd pan wie o tym niezawodnym sposobie?

Sir Andrew stał zmieszany i bezradny. Uprzejmość wobec damy i dobre wychowanie, a krepowała ~~ona~~ ówczesnych ludzi



... gdybym wiedziała, jak panu na tym zależy ... (str. 75)

daleko silniej, niż dziś, nie pozwalało odebrać jej skrawka, a rozkaz wyraźny naczelnika polecał każde pismo palić.

Małgorzata ścisnęła w palcach skrawek; przecież to ratunek Armanda, los ją tu przywiódł, wahać się nie będzie.

— Cóż się tak na mnie patrzysz, milordzie? — mówiła, śmiejąc się swoim pełnym, srebrzystym uśmiechem. — Zapewniam pana, że czuję się już zupełnie dobrze, tak tu cicho i chłodno po tamtym chaosie.

A lord Tfoulkes tymczasem przebiegł myślą wszystkie środki i sposoby, jakimi by mógł rozporządzać, ażeby papier wydobyć z jej rąk. Tak, to możliwe, że chce go podejść ta piękna pani. Opowiadano mu przecież przygodę z St. Cyrem, ale on nigdy o taką przewrotność jej nie posądzał. Wtenczas nie chciał wierzyć tym opowiadaniom...

— Co? Jeszcze pan zamyślony. Ach! Więc to tak, obawia się pan mojej niedyskrecji. Więc miewamy listy, a cóż Zuzanna? A może to czułe pożegnanie?

— Cokolwiekbądź jest, lady Blackeney, — mówił sir Andrew, odyskując powoli przytomność umysłu — bawierka ta do mnie należy.

I już więcej o przepisach uprzejmości nie myśląc, rzucił się naprzód, aby wyrwać zdobycz z jej rąk.

Małgorzata była silną, traciła stół z kandelabrem i upadł pomiędzy nich.

— Świece, zmiłuj się pan, zgaś świece! — krzyknęła przerażona i gdy podnosił stół, konstatując, że świece poplamili dywan, ona rozłożyła skrawek, odczytała i rzuciła na podłogę. Gdy podniósł głowę, zastał ją przerażoną i zajęta tylko niebezpieczeństwem wzniesienia pożaru.

— Na miłość Boską, czyż warto było dla jakiegoś miłego liściku, robić taką awanturę! — mówiła Małgorzata wesoło. — Mało brakowało, a byłby pan spalił całe ministerstwo.

— Przebac mi pani, co jednak rozpocząłem, muszę do-

Kończyć. — rzekł sir Andrew, z zadowoleniem skrzył paperek i spalił przy świecy.

— Ależ naturalnie, gdybym była wiedziała, jak panu na tym zależy... — uśmiechała się zwycięsko. — Ratunek dla Armanda stał się już jej własnością. — A teraz po dokonanych spaleniach zatańczmy menueta, jeśli pan chcesz, ażeby wzbudzić zazdrość tej niszczącej nieznajomej.

ROZDZIAŁ XIII.

ALBO — ALBO.

Słowa, które wyczytała Małgorzata na spalonym w połowie skrawku, wyglądały dziwnie. Ponieważ płomień przeżarł połowę, wyraźnie można było tylko poznać początek: **Wyjeżdżam jutro...** dalej szło kilka zdań nieczytelnych, a na końcu: **dziś w jadalnym punktualnie o 1-szej.** Następował znaczek, kwiatek anyżku, o którym już tyle słyszała.

Wspaniały zegar z czasów Ludwika XV wybiłał jedenastą, więc za dwie godziny los się rozstrzygnie, dotąd on jeszcze w jej rękę! Za dwie godziny ma rzucić los szlachetnego, dobrego człowieka w objęcia tego szakala, który tam czeka, od którego litości spodziewać się nie można. Nigdy! A cóż złego jej zrobił. A Armand? Równie dobry, równie szlachetny, a przy tym jej brat ukochany i kochający!

„Mogłeś mnie wyratować, Margot! — zdawało się jej, że mówi. — A wybrałaś obcego, któregoś nie znała i wolałaś go ratować, a mnie wysłać pod gilotynę!”

Myśli te przebiegały jej przez głowę w chwili, gdy z gracją niezrównaną, uśmiechnięta, prowadziła w pierwszej parze menueta z lordem Andrewem. Nigdy, na żadnej paryskiej scenie nie czuła się tak doskonale aktorką, jak teraz, kiedy za wszelką cenę, chciała uśpić podejrzenie, które wzbudziła w swym tancerzu.

— Obiecałam jeść kolację z Jego Wysokością, — mówiła, gdy taniec skończyli — ale, zanim się rozstaniemy, czy przebaczasz mi pan?

— Jakiś, nie rozumiem, pani mnie prosi o przebaczenie?

— Tak, Francuską jestem, wymiana czułego bileciku nie oburza mnie, ani gniewa, a przysięgam, że Zuzannie nie powiem. Czy będziesz pan na zabawie u mnie w środę?

— Nie mogę tego naprzód wiedzieć! — tłumaczył się. — Może mi wypadnie wyjechać z Londynu w tym czasie.

— Tego nie robiłabym za nic w świecie na miejscu pana! — a widząc niepokój na twarzy młodego człowieka. — Nikt tak dobrze, jak pan, nie potrafi bawić towarzystwa. — dodała pośpiesznie.

Poprowadził ją do drugiego pokoju, gdzie już Jego Wysokość czekała na piękną panią Blackeney.

— Pani, czeka nas kolacja! — mówił książę, podając jej ramię. — I ja czekam pełen nadziei. Bo jeśli fortuna chmurzy się na mnie, to ja z zaufaniem wyglądam uśmiechu Piękności!

— Jego Wysokość przegrałeś? — zapytała Małgorzata, przyjmując ofiarowane sobie ramię.

— Aj! I jak fatalnie. Blackeney ma zawsze szczęście.

ROZDZIAŁ XIV.

PUNKT PIERWSZA.

Kucharz lorda Grenville był artystą w swoim zawodzie, lady Małgorzata zachwycająca, a ten zabawny idiota, sir Percy, nigdy jeszcze tak wszystkich nie rozśmieszył jak dzisiaj swoimi conceptami i śpiewkami.

A zegar śpieszył bez litości. Już było po północy i książę Walii zamierzał opuścić zebranie.

Za pół godziny los rozstrzygnie albo na korzyść brata, albo tego nieznanego bohatera. Małgorzata w swym strwożonym, przygnębionym sercu spodziewała się ciągle czegoś, jakiegoś zdarzenia, jakiegoś kataklizmu. Czegoś, coby zrzuciło z jej delikatnych barków odpowiedzialność. Żał jej było tego kogoś, który może niczego złego nie przeczuwa nawet. Bała się spotkać Chauvelina, bo wiedziała, że pierwsze jego słowo, przetnie kwestię na korzyść Armanda.

A zegar szedł, minuty uciekały.

Musi ratować Armanda, miałbyż zginąć śmiercią zdrajców, na gilotynie? On, który tak kochał swój kraj i życie swe oddał Francji.

A tamten? Wszak to Anglik, ma środki i zdolność po temu, może potrafi uniknąć drapieżnych pazurów Chauvelina.

Od tańców wymówiła się zmęczeniem, nie mogła grać komedii w nieskończoność. Słuchała uprzejmie lorda Faucourt, w ostatnim salonie, gdy wtem z poza portiery małego buduaru dojrzała chytrą twarz Chauvelina i oczy jego, bystro w nią wpatrzone. Czyż to przeznaczenie? Jedna wymiana spojrzeń.

Czuła, że ją odgadł, że wle napewno, iż posiada ona upragnioną wiadomość.

— Lordzie Faucourt, — zapytała — czy chcesz mi pan oddać przysługę?

— Jestem na pani rozkazy! — odpowiedział uprzejmie.

— Czy zechce pan poszukać mego męża, może gra w karty, jeszcze, i zapytać go, czy nie zechce wracać, bo ja już jestem bardzo zmęczona.

— Najchętniej, ale jakże panią tak samą zostawię? — dytał uprzejmie.

— Oh, to najmniejsza! Posiedzę i odpocznę tu spokojnie, bo jestem naprawdę zmęczona. Sir Percy zechce pewnie jechać do Richmondu i w domu będziemy dopiero nad ranem.

Z chwilą odejścia lorda Faucourt wślizgnął się do pokoju Chauvelin.

„Oh Armandzie! — myślała. — Czy kiedy się dowiesz, jaką ofiarę z dumy, godności, poniosła dla ciebie kochająca siostra?”

— Ma pani jaką wiadomość dla mnie? — zapytał

— Nic ważnego — odpowiedziała, patrząc rozpaczliwie w jeden punkt — przez dziesięć sekund miałam w ręku nadpaloną kartkę, którą sir Andrew chciał spalić.

— Czy starczyło czasu, aby ją odczytać? — zapytał spokojnie Chauvelin.

Kiwnęła głową twierdząco.

— Na boku był wiadomy kwiatek i dwie linie nie całkiem spalone.

— I co było w tych dwóch liniach?

Nie mogła mówić, gardło miała ściśniętą.

— To całe szczęście, że papier nie spalił się. — dodał z uśmiechem zjadliwym. — Mogło być źle z Armandem. Co było na tym skrawku, obywatelko?

— Było „wyjeżdżam jutro“ a potem „punkt pierwsza w jadalni“ — mówiła Małgorzata mechanicznym, dźwięnianym głosem.

Chauvelin popatrzył na zegar.

— Włięc czasu aż nadto! — powiedział zadowolony.

Błądą była jak posąg marmurowy, zimnymi rękami przyskakała serce, które biło bez opamiętania

Strasznel Okrutnel Już wybrała! I popełniła podkość. Czym na taki los zasłużyła!

— Co pan uczynisz? — spytała.

— Na razie nie, potem... zależeć będzie.

— Od czego?

— Od tego, kogo zobaczę punkt o pierwszej w jadalni.

— Zobaczysz pan naturalnie Anyżę, ale pan go nie znasz?

— Nie! Dopiero teraz poznam!

— Może go przestrzegł sir Andrew.

— Nie sądzę! Obserwowałem przez cały czas lorda Tfoules. Sam z nim rozmawiałem o Glücku i muzyce niemieckiej. Teraz trzyma go lady Portalles i nie wyczerpią tematu, jeśli o Zuzannie mówią, chyba im kto przerwie. Patrz pani — ukazał młodego lorda w bocznym salonie, rozmawiał z lady Portalles z niezwykłym ożywieniem. — Myślę, że na pewno spotkam osobę, której szukam, w jadalni! — dodał z tryumfującym uśmiechem.

— Będzie ich pewnie więcej niż jedna.

— Ktokolwiek tam będzie, otrzyma anioła stróża w jednym z moich ludzi; z tych jeden, dwóch, a może trzech wyjedzie do Francji jutro: jeden z nich będzie owym Anyżem...

— No tak. A cóż dalej?

— Ja też, piękna pani, pojedę do Francji. W papierach

znalezionych jest mowa o oberży koło Chalats „Pod słwym Kotem“, potem o norze ojca Blanchard, trzeba będzie tego poszukać, bo tam, zdaje się, trzyma zdrajcę Tournay i innych, gotowych do przeprawy. Teraz go już mam.

— A Armand? — spytała błagalnie.

— Czyż kiedy złamałem słowo? Nierozważny list jego otrzyma pani jutro, a gdy pochwycę Anyżę, przysięgam, że ci zdrowego i całego St. Justa przysłę do Anglii

Z przesadnym ukłonem i baczny spojrzeniem na zegar, opuścił pokój.

Zdawało się Małgorzacie, że słyszy jego kroki mimo gwaru zabawy i dźwięków muzyki.

Los zdecydował. Powiedziała! Więc popełniła podłość dla ratowania brata, którego tak serdecznie kocha. Oparłszy głowę o poręcz fotela, siedziała bierna, cicha z obrazem tego zaciętego swego wroga przed zbolalymi oczami.

Jadalny pokój wyglądał dziwnie. Powywracane kieliszki, porzucone serwety, leżące na ziemi krzesła, dowodziły, jak bogato zaopatrzył swą piwnicę lord Grenville. Inne znów krzesła stały rzędem sztywne i nieporuszone. Były także ustawione po dwa albo i trzy razem, które wyraźnie mówiły o flircie we dwójkę, o szampanie mrożonym i tym podobnych rozrywkach. Istny korowód duchów, z których każdy zatrzymał pozę tych, którzy przed chwilą życiem i gwarem salę tę wypełniali. A teraz stał pusty i cichy ten jadalny pokój, do którego dążył skwapliwie Chauvelin.

Staął, nasłuchując. Nie mógł uwierzyć temu spokojowi. Czyżby go Małgorzata w pole wywiodła? Piorun, który strzelił z jego oczu, źle wróżył St. Justowi w podobnym wypadku. Ale nie, to niemożliwe.

Równy, spokojny oddech dochodził go z przyćmionego kąta. Aha! — więc były i ofiary biesiady. Zbliżył się po ci-

chutku i uśmiech pobleźliwy, prawie liśności zlagodził ostrą
twarz jego. W roku sofy leżał spokojny, zadowolony z siebie
i o Bożym świecie nic niewiedzący, małżonek najmądrzejszej
kobiety w Europie.

ROZDZIAŁ XV.

WĄTPLIWOŚCI.

Pozostawiona sobie, towarzyszyła Małgorzata myślą Chauvelinowi. Kogo zastanie on w jadalni, czy pozna tego, kogo szuka? Gdyby tam była, pewną jest, że bez wahania umiałaby wskazać tego człowieka. Bohater, naczelnik, ślepo słuchany przez swoich podwładnych, ma niezawodnie wybitne rysy i uderza inteligencją! A może go tam nie będzie, może sir Andrew potrafił go uprzedzić, może sam był na tyle ostrożny! Tak, a cóż wtedy stanie się z Armandem? Oh! Gdyby nie ten brat najukochańszy! Albo — albo, już los rozstrzygnął. To straszne.

— Straciłem dużo czasu, zanim odszukałem Blackeneya! — powiedział lord Faucourt tuż nad nią. — Znalazłem go smacznie śpiącego w jadalni, powtórzyłem życzenie pani, mylady, i już kazał zaprzęgać.

— Tak, powtórzyłeś mu pan moje życzenie? — mówiła trochę nieprzyciennie. — Dziękuję panu bardzo! — dodała dla zwyczaju.

— Pani wydajesz się cierpiącą. Lady Blackeney, może w oranżerii będzie trochę chłodniej, zaprowadzę panią.

— Jestem tylko bardzo zmęczona! — mówiła, dając się prowadzić.

Upadła na krzesło, które jej lord Faucourt podsunął

Czemu Chauvelin nie daje jej znać, co zaszło w jadalni!

— Lordzie Faucourt, — zapytała raptownie — kto był w jadalni prócz mego męża?

— W jadalni? — powtórzył zdziwiony lord. — Tam był tylko agent rządu francuskiego, uspiiony również w drugim kącie. Dlaczego pani o to pyta?

— Nie wiem doprawdy... myślałam... Czy nie zauważyłeś pan przypadkiem, o której to być mogło godzinie?

— Pięć lub dziesięć minut po pierwszej, tak sędzę. Ale o czym pani tak myśli? Czy dowiedzieć się o powóz? — zapytał, widząc, że jest prawie nieprzytomna i rad, że się wymknie.

— Dziękuję oh, dziękuję... Jeśli pan jest tak uprzejmy... nie umiem nawet rozmawiać... — tłumaczyła się. — Chętnie zostanę sama.

A Chauvelina nie ma! Co się tam mogło stać?

Czuła śmiertelną trwogę o Armanda. Wiedziała, że jeżeli tajemniczy Anyż wymknie się z tej zasadzki i potwierdzi opinię nieuchwytnego, jaka o nim krąży, to agent nie da się ubłagać, litości nie okaże. Sam lord Grenville przyszedł jej powiedzieć, że powóz czeka, a sir Percy trzyma już lejce w ręku.

Pożegnawszy się z gospodarzem, szła powoli przez zaludnione salony, wymieniając ukłony i czułe „Do widzenia“ z lepszymi znajomymi. Rój młodzieży odprowadzał ją do powozu, przed którym zaprzężone cztery bułanki uderzały niecierpliwie kopytami. Zanim zaczęła schodzić ze schodów, dojrzała wstępującego na nie Chauvelina.

Miał dziwną minę, trochę ubawioną, ale zdziwioną. Szedł powoli, zacierając ręce z zadowoleniem.

— Panie Chauvelin, — zapytała go w chwili, gdy składał jej głęboki ukłon — może zechcesz podać mi ramię i odprowadzić mnie do powozu.

Podał jej ramię z gałanterią i prowadził po schodach. Tłum odjeżdżających zalegał szerokie schody.

— Chcę wiedzieć, co się stało, muszę wiedzieć! — pytała go szeptem.

— Co się miało stać, gdzie? Kiedy? — odpowiedział z udanym zdziwieniem.

— Nie męcz mnie, panie Chauvelin. Pomogłam ci, więc mam prawo pytać. Co się stało w jadalni, teraz, o pierwszej?

Gwar i ścisk sprawiał, że mogli rozmawiać swobodnie.

— Spokój i cisza niezmacona panowała tam, piękna pani; o pierwszej i ja spałem na jednej sofie, a sir Percy na drugiej.

— Więc nikt nie wchodził do pokoju? Zupełnie nikt?

— Nie było nikogo.

— Więc się nie udało... a ja...

— Być może, że się nie udało, a może...

— Ale cóż będzie z Armandem? — mówiła błagamie.

— Życie St. Justa wisi na włosku, błagaj nieba, piękna pani, aby się ten włoszek nie urwał.

— Panie Chauvelin, pracowałam dla pana szczerze! Pamiętaj.

— Pamiętam obietnicę! — powiedział spokojnie. — Gdy spotkamy się z Anyżem we Francji, St. Just będzie już u swojej uroczej siostry.

— To znaczy, że krew tego dzielnego człowieka, będzie na moich rękach! — powiedziała, wstrząsając się.

— Jego, albo też brata pani. Na razie miejmy nadzieję, że Anyż wyjedzie dziś do Calais.

— Ja tylko jednej rzeczy spodziewam się, obywatelu. — powiedziała podrażniona.

— A to jest, jeśli wiedzieć wolno?

— Że, nim słońce zejdzie, szatan, twój władca, wezwie cię gdzie indziej.

— Pochlebiasz mi, obywatelko!

Zatrzymała się, chciała odgadnąć, co się kryje po za tą chytrą, lisią fizjognomią. Uśmiechał się tajemniczo, złośliwie, dobroduszenie.

Nie wiedziała, czy bać się go, czy jednak liczyć na coś. U dołu schodów pożegnała go, podając drobną rączkę, z ruchem błagalnym.

— Daj mi choć trochę nadziei, panie Chauvelin! — szepnęła prosząco.

— Proś nieba, aby włoski się nie zerwał! — odpowiedział z zagadkowym uśmiechem i ucałował drobną rączkę, cofał się w ukłonach,

ROZDZIAŁ XVI.

RICHMOND.

Godzinę albo i mniej trzeba było jechać do Richmondu, a jazda taka na koźle obok męża, w ciepłą jesienną noc, sprawiała Małgorzacie ogromną przyjemność. Wiatr chłodził jej policzki, rozgrzane duszną atmosferą balową i przeżyтыми wrażeniami. Czwórka bułanków pędziła jak opętana, a woźnica zdawał się zachęcać je do tego szalonego tempa i pewną, silną ręką kierował swymi faworytami. Jak zwykle nie mówił nic i Małgorzata też nie myślała przerywać milczenia, czuła się jednak dzisiaj tak przygnębioną, tak potrzebującą sympatii, że mimowoli patrzyła na swego męża, obserwowała go uważnie. Natura była dla lorda Blackeney stanowczo łaskawą. Wysokie równe czoło, nos prosty, powieki opadające trochę, ale z długimi bujnymi rzęsami; śmiały stanowczy wyraz ust i brody, były z chwilą, kiedy śmiech i błazeństwa ustały, znamionami człowieka nieugiętego, o żelaznej woli i silnym charakterze. Gdy tak siedział poważny, przypominał się Małgorzacie takim, jakim był za czasów narzeczeństwa. I może dlatego, że dzisiaj czuła się upokorzona, a zatem skłonna do sądzenia łagodnie i tłumaczenia wad cudzych, czuła dla niego nieprzemogłą sympatię.

Jakże straszny i nieubłagany bywa los, rządzący ludzką istotą. Tydzień temu, gdyby jej ktoś powiedział, że będzie szpiegować przyjaciół, że zdradzi dzielnego człowieka i odda go w ręce bezlitosnego wroga, byłaby go wyśmiała i odrzuciła tę myśl ze wstrętem.

A przecież tak się stało. I będzie winną śmierci tego czło-

wieką. Tak jak winną była w sprawie Markiza de St. Cyr dwa lata temu. Nie, więcej winną, bo tam nie spodziewała się tak strasznego następstwa słów lekkomyślnie wyrzeczonych. A teraz, popełniła czyn podły i wstrętny, własnowolnie i z całą świadomością jego następstw. Nie jej nie tłumaczy. Wyśmiewała i pogardzała mężem za jego brak zajęcia, nieinteligentne rozrywki, za jego śmiech głupi i prostacki. Cóż on czułby dla niej teraz, gdyby się dowiedział o tym, jak postąpiła dzisiejszej nocy. Pogardziłby istotą, która nie ma dość siły, aby trzymać się prawej drogi, i nie ma sumienia, bo dla brata poświęca niewinnego człowieka

Wśród tych rozmyślań minęli ciężką, murowaną bramę i zaprzęg wśród klombów, drzew i krzewów wjechał pod podjazd wspaniałego pałacu.

Sir Percy zeskoczył i pomógł jej wysiąść, potem zaś wydawał jakieś długie i szczegółowe rozkazy licznie zebranej służbie.

Nie miała ochoty wchodzić zaraz do pałacu. Pociągała ją cicha noc, chłód wiejący od rzeki uspakajał nerwy, a spoczynek wydawał się niemożliwy. Wątpiła czy potrafi po takim wieczorze, jak dzisiejszy, spocząć i zasnąć spokojnie. Chodziła wzdłuż domu po tarasie.

Wtem usłyszała bliskie kroki na żwirze. To sir Percy. Mimo, że ją widział, nie zatrzymał się, lecz szedł prosto ku domowi. Nie namyślała się.

— Sir Percy! — zawołała i postąpiła w krąg jasnego światła księżyca.

Obejrzał się, a poznawszy, odpowiedział ze zwykłą uprzejmością.

— Służę, panie!

Ale nogę zatrzymał na pierwszym stopniu i widać było w jego zachowaniu, że chce odejść, a nie rozmawiać z nią.

— Noc taka cudowna i wcale jeszcze nie późno. Czy nie

chcesz trochę tu pozostać? A może moje towarzystwo tak jest ci wstrętne, że wolisz się mnie pozbyć od razu?

— Nie, pani, — odpowiedział spokojnie — ale może być i odwrotnie: noc piękniejsza jest bez mego towarzystwa, więc wolę pani nie zawadzać.

I zawrócił do domu.

Teraz jednak ona się zbliżyła.

— Nie zrozumiałeś mnie, sir Percy. Ubolewam serdecznie nad oziębieniem naszego stosunku i nie ja się usunęłam pierwsza.

— Ach tak! Musisz mi wybaczyć, panie — powiedział zimno. — Pamięć nie zawsze mi dopisuje.

Patrzył w jej oczy z tym niedbałym sennym wyrazem, który stał się u niego drugą naturą.

— Pamięć? Chyba się zmieniła? — mówiła, zbliżając się i patrząc mu w oczy. — Wszak cztery lata temu widziałeś mnie raz jeden tylko, a wróciwszy z podróży na wschód, po dwóch latach pamiętałeś mnie doskonale?

Śliczna była w świetle księżyca. Płaszcz opadł z jej ramion, suknia mieniła się złotym swym haftem, a twarzyczka drobna, pełna wyrazu, zwrócona wprost do niego, miała anielski wyraz.

— Życzyłaś sobie pani mej obecności, — mówił lodowatym głosem a w rękę ścisnął poręcz kamienną, — mam nadzieję, że nie dla zagłębiania się w czułych wspomnieniach...

Głos jego zimny i sztywne obejście mogły zrazić i dotknąć każdą kobietę. Małgorzata jednak odczuła, że ta jego obojętność jest nieszczerą. Któża kobieta, świadoma swych wdzięków, wyrzeknie się sposobności, aby opierającego się mężczyznę zmusić do poddania.

— Dlaczegożby nie? — zapytała. — Niestety chwila obecna nie jest tak rozkoszna, aby nie życzyć sobie choćby przypomnienia przeszłości.

— Co prawda. — odrzekł — za ciężki mam dowcip, ażeby
 być tam towarzyszyć pani...

Odchodził już, gdy swym słodkim, serdecznym głosem
 zawołała.

— Percy!

— Służę pani

— Czy miłość może umrzeć? — zawołała z wybuchem. —
 Zdawało mi się, że iaka jak twoja wtedy dla mnie, mogła prze-
 trwać dwa życia. Czyż już nic z niej nie zostało, Percy?... Czy
 nigdy się nie porozumiemy?

Wprostował się, wyraz nieugiętej zaciętości wypełził na
 leniwą twarz jego.

— W jakim celu, proszę pani? — zapytał zimno.

— Nie rozumiem...

— To przecież proste... — powiedział, walcząc z powstrzy-
 mywaną goryczą. — Pytam, bo mój ciężki umysł nie może po-
 jąć tej nowej zachcianki pani. Czy to ma być zabawka taka
 sama, jak w roku przeszłym? Życzysz sobie, abym u stóp
 twych zakochany i proszący leżał, abyś mnie znów jak psa
 odtrącić mogła?

— Percy, błagam cię o to! — mówiła patrząc mu w twarz.
 — Czy nie możemy zapomnieć o przeszłości?

— Przepraszam panią, ale właśnie zrozumiałem, że pani
 o wspomnieniach mówić chciała?

— Nie, nie o takich wspomnieniach myślałam. — mówiła
 serdecznym głosem. — Chciałam mówić o czasie, kiedyś mnie
 kochał a ja... oh!... byłam próżną i lekkomyślną... Poszłam za
 ciebie, licząc, że twoja miłość wzbudzi w moim sercu podobne
 uczucie ale... niestety.

— A w dwadzieścia cztery godzin po naszym ślubie, ro-
 dzina cała St. Cyrów poszła pod gilotynę! Głos powszechny
 twierdził, że tego dokonała lady Blackeney!

— Wszak sama opowiedziałam ci całą prawdę.

— Ale obcy opowiedzieli mi ją przedtem, nie szczędząc szczegółów.

— Tak, a ty im wierzyłeś więcej niż mnie... Gdybyś wiedział, ile wysiłków, upokorzeń, zabiegów użyłam, ażeby powstrzymać następstwo lekkomyślnych słów. Gdybyś wiedział, jak mnie oszukano, zdradą, podejściem wydobyto tę wiadomość ode mnie, a ja byłam tak młodą!... Myślałam, że co najwyżej St. Cyr będzie musiał się tłumaczyć i wydawało mi się to słuszną karą za straszną krzywdę i poniżenie, którego brat doznał za to, że podniósł oczy na córkę wysokiego rodu. Oh, jakże ukaraną jestem za moją pychę, bo to dla niej uniewinniać się przed tobą nie chciałam... Czułam, że pogardzać mną musisz i zamknęłam się w mej boleści, nie chcąc łaski twej i przebaczenia. Wiedziałam, że kochasz mnie i po do szaleństwa... ale miłość twoja nie wytrzymała tej próby...

— I dla wypróbowania mej miłości poświęciłaś mój honor... Przysięgałem ci, że życie moje do ciebie należy i danego słowa dotrzymałem. Zabawką jestem w twym ręku... Ale z chwilą, gdy pękła struna zbyt silnie naciągnięta, przysięgłem sobie, że na nowe odtrącenie narażać się nie będę.

I już nie mogła skarżyć się Małgorzata, że mąż jej jest na wszystko obojętny. Głos jego drżał długo tłumionym uczuciem, ale pycha walczyła i podtrzymywała go w dobrowolnie przyjętej roli.

— Sir Percyl — rzekła z przejęciem. — Ale teraz, teraz, kiedy tak bardzo współczucia potrzebuję, tak ciężkie mam zmartwienie... wysłuchaj mnie i pomóż.

— I w czymże mam ci być pomocny, pani? — mówił głuchym tępym głosem. — Jestem na twoje rozkazy!

— Percyl! Brat mój w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Jakiś list jego, pisany nierozważnie do lorda Tfoulkes wpadł w ręce fanatyka rewolucjonisty... w tych dniach Armand będzie uwięziony... a potem gilotyna... Chyba... chyba... och jakie to

strasznie... a ty mnie nawet... nawet zrozumieć nie możesz...
I nie mam gdzie szukać... pomocy... porady...

Łzy płynęły po jej twarzy. Oparła się o kamienną poręcz i zakrywając twarz rękami, płakała cichutko.

Na wspomnienie Armanda Blackeney pobladł.

— Więc to tak? — powiedział z gorzką ironią. — Rozżarty pies rewolucji kąsa rękę, która go żywiła? Osusz pani łzy, na miłość Boską, nie mogę patrzeć na piękną kobietę płaczącą... a ja...

Była chwila, że rozłożył ręce, jakby chciał ją strapioną i bezradną objąć i przycisnąć do serca. Ale duma powstrzymała ten odruch instynktowny, powściągnął się całą siłą swej woli i zapytał zimno choć uprzejmie:

— Zechcesz pani może zwrócić się do mnie i powiedzieć mi szczerze, w czym mogę ci być użyteczny?

Podniosła załzawioną twarz i wyciągnęła rękę, którą on ucałował z towarzyską galanterią, ona jednak pozostawiła chwilę rękę w jego dłoni i czuła, że dłoń ta drży namiętnością i współczuciem.

— Masz wpływ u dworu... i tylu przyjaciół — mówiła łagodnie i szczerze. — Może mógłbyś go ratować?

— Jakże to, pani? Czyż nie lepiej wezwać do pomocy przyjaciela pani, tego agenta francuskiego? Podobno wpływy jego sięgają tam wysoko i ma poważanie u rządu...

— Nie mogę go prosić.. Percy... Och! Gdybym mogła wszystko ci powiedzieć... On za cenę głowy mego brata... zażądał... Nie jestem w stanie mówić...

Czekał cierpliwie, całe jego zachowanie wskazywało, że pożąda z upragnieniem zwierzenia, które jej pycha szalona, nieszczęsna pycha, wypowiedzieć broniła.

Wiedział, że wystarczy z jego strony jedno słowo, jeden ruch, a padnie mu w objęcia i wyzna wszystko, co ją gnębi i do rozpacz doprowadza... Tak bardzo, tak oddawna pragnął

tych jej zwierzeń, pożałował tego, żeby udała się pod jego opiekę i zażądała jego pomocy... Ale nie zrobił tego ruchu, nie powiedział tego słowa... W dumie i zaciętości swej pragnął, aby to uczyniła sama bez żadnych zachęcań z jego strony... Może właśnie ta chwila upragniona nadeszła...

Niestety, widocznie nie nadeszła jeszcze, gdyż Małgorzata pomimo walki, jaką w swej duszy toczyła z samą sobą, też nie mogła tak odrazu przemódz swej pychy i zdobyć na zupełnie szczere wyznanie wszystkiego mężowi bez słowa zachęty z jego strony.

— Dobrze! — powiedział po dłuższym jej milczeniu. — Jeżeli to tak panią rozdrażnia, nie będziemy o tym mówili... Co do Armanda, proszę się nie obawiać! — dodał trochę zimno. — Mogę dać słowo, że będzie uratowany. A teraz pozwól mi pani odejść, późno już i...

— Pozwolisz sobie podziękować? — mówiła, przysuwając się do niego tak blisko, że włosy jej dotykały jego twarzy.

— Jeszcze zawcześnie, pani. Dotąd na wdzięczność twoją nie zasłużyłem. Późno już, pani musisz być zmęczona i służba jej czeka tam na górze.

Mówił zimno, ale oczy przymknął, widok bowiem jej zażawionych oczu, jej pięknej głowy, pochylonej ku niemu i jakby oparcia szukającej były ponad jego siły. Nie mógł zapomnieć, że zwierzenia swe przerwała, a nie chciał uleść chęci pochwycenia jej w ramiona. Serca te rozdzielał mur pychy i żadne nie miało odwagi go obalić.

A przecież tak mało było potrzeba, aby te dwa serca szlachetne, te dwie dusze porozumiały się zupełnie, pojednały na zawsze...

Niestety — znów jedna sposobność, narzucona przez życie, zmarnowana została.

Może bezpowrotnie...

Sklonił się jej nisko, gdy z ciężkim westchnieniem wchodziła na stopnie. Wspaniały złotem haftowany jedwab jej

sukni szemrał lekko. U szczytu schodów zatrzymała się, w nadziei, że ją przywoła.

W jasności świtającego poranka wyglądała jak uroczne, niezemskie jakieś zjawisko.

Nie poruszył się.

Stał jak uosobienie zaciętej dumy, nieugiętej woli.

Zwątpiła, czy żar ugaszony rozniecić potrafi. Gorące łzy napłynęły jej do oczu, odwróciła się szybko, aby ich nie dostrzegł i odeszła.

Zaledwie ucichły jej lekkie kroki, sir Percy pochylił się nad balustradą i całował kamień, na którym ręce opierała.

Mimo wszystko, kochał ją do szaleństwa.

KONIEC TOMU I.